

DANILO KIŠ

GROBOWIEC DLA
BORYSA DAWIDOWICZA

SIEDEM ROZDZIAŁÓW WSPÓLNEJ HISTORII
POWIEŚĆ

GROBNICA ZA BORISA DAVIDOVIČA:
SEDAM POGLAVLJA JEDNE ZAJEDNIČKE POVESTI

Przełożyła i opatrzyła posłowiem Danuta Cirlić-Straszyńska

Wydawnictwo Czarne
Wołowiec 2005

NÓŻ O RĘKOJEŚCI Z DRZEWA RÓŻANEGO

Mirkowi Kovačowi

Opowieść, która nastąpi, która rodzi się w niepewności i zwątpieniu, ma nieszczęście (niektórzy nazywają to szczęściem) być prawdziwą: zapisana została ręką uczciwych ludzi i wiarygodnych świadków. Lecz aby była prawdziwa w sposób, o jakim marzy autor, musiałaby być opowiedziana w języku rumuńskim, węgierskim, ukraińskim lub jidysz; albo najlepiej mieszaniną tych języków. Wtedy – zgodnie z logiką przypadku oraz mglistych, niezgłębionych zdarzeń – błysnęłoby w świadomości narratora także jakieś rosyjskie słowo, to delikatne, jak *tieliatina*, to znów twarde, jak *kindzał*. Gdyby zatem narrator mógł dosięgnąć niedościgłej, okrutnej chwili biblijnego pomieszania języków, usłyszałyby pokorne prośby i rozpaczliwe zaklęcia Hanny Krzyżewskiej, wypowiedane na przemian po rumuńsku, po polsku, po ukraińsku (jakby sprawa jej śmierci była wyłącznie następstwem wielkiego, fatalnego nieporozumienia). W przedśmiertnym skurczu i uspokojeniu jęki te zamieniłyby się w modlitwę za zmarłych, wypowiedzianą po hebrajsku, językiem początku i końca.

BOHATER POZYTYWNY

Miksza, nazwijmy go tak, przyszywał guzik w niespełna dziesięć sekund. Proszę zapalić zapałkę i trzymać ją w palcach. Zapałka jeszcze nie zdążyła nas oparzyć, a Miksza już przyszył guzik do oficerskiego munduru.

Reb Mendel, u którego Miksza był czeladnikiem, nie może uwierzyć oczom. Poprawia okulary, bierze zapałkę i mówi w języku jidysz: „Ho-ho, jeszcze raz, Herr Mikszáth”. Miksza ponownie nawleka igłę, reb Mendel, uśmiechnięty, wpatruje się w niego, po czym nagle wyrzuca zapałkę przez okno i spluwa na palce.

Czeladnik, który już przyszył guzik do munduru Herr Antonescu, mówi tryumfalnie: „Reb Mendel, wystarczy jedna jedyna zapałka, by spalić wszystkie roponośne pola Ploeshti”. Miksza spogląda w daleką przyszłość, oświetloną olbrzymią łuną, a reb Mendel wilgotnymi jeszcze palcami chwytając nagle guzik od munduru i obraca go tak, jakby chciał ukręcić głowę kurczakowi. „Gdybyście nie myśleli tak głupio, Herr Mikszáth”, powiada, „moglibyście zostać pierwszorzędnym majstrem... Wiecie, że złoża w Ploeshti ocenia się na miliony galonów ropy?” ... „To będzie piękny płomień, reb Mendel”, mówi zagadkowo Miksza.

MĘDRKOWANIE

Miksza nie został majstrem. Jeszcze dwa lata przyszywał guziki u reb Mendla, słuchając jego talmudycznego mędrkowania, a potem musiał odejść, ścigany przekleństwem. Pewnego dnia, a było to wiosną pamiętnego roku 1925, reb Mendel pożalił się, że zginęła mu kura, kochinchina. „Reb Mendel”, odpowiedział Miksza, „poszukajcie złodzieja wśród Żydów”. Reb Mendel poczuł ciężar obrazy i przez pewien czas nie wspominał o kochinchinie. Miksza też milczał; czekał, aż reb Mendel poskromi dumę. Starzec walczył z sobą, składając na ołtarzu talmudycznej pychy co dzień po jednej kurze. Stróżował z kijem w kurniku, aż do świtu, płosząc tchórza szczekaniem podobnym do psiego. Tuż przed świtem zasypiał, i z kurnika ginęła jeszcze jedna kura.

„Niech mnie skarże Wielki Sprawiedliwy, który powiedział, że wszystkie żywe stworzenia zasługują po równi na jego opiekę i litość”, odezwał się reb Mendel dziewiątego dnia. „Czy taka kochinchina, warta co najmniej pięć czerwońców, może być równa tchórzowi, który niszczy biedaków, a ponadto śmierdzi na kilometr?”. „Nie może, reb Mendel”, odrzekł Miksza, „nie może kura warta pięć czerwońców równać się ze smrodliwym tchórzem”. Więcej nic nie powiedział. Cekał, aby tchórz zniszczył wszystko, co się da, aby przekonał reb Mendla, że jego talmudyczne brednie o równości wszystkich stworzeń Boskich są warte tyle co nic i że będzie tak aż do czasu, gdy sprawiedliwość zostanie zaprowadzona sposobami ziemskimi.

Jedenastego dnia reb Mendel, udręczony daremnym czuwaniem, opuchnięty, z czerwonymi oczyma, z włosami pełnymi pierza, staje przed Mikszą i zaczyna bić się w piersi: „Herr Mikszáth, niech pan mi pomoże!” – „W porządku, reb Mendel”, powiada Miksza. „Wyszczotkujcie kaftan i powyjmujcie pierze z włosów. Sprawę pozostawcie mnie”.

PUŁAPKA

Pułapka sklecona przez Mikszę stanowiła kopię tych, jakie robił kiedyś jego dziadek na Bukowinie – mgliste, nostalgiczne wspomnienie. Poza tym była to zwykła skrzynka z twardych bukowych desek, z wiekiem, które otwierało się z zewnątrz, ale nie od środka. Na przynętę Miksza włożył jajko, co do którego niezłomie się przekonał, że gnije w nim, jak w trumnie, pisklę kochinchiny. Rano, gdy wyszedł na podwórze, od razu wiedział, że zwierzę się złapało – wszędzie roznosił się smród.

Reb Mendel tymczasem nie ruszał się z domu. Wyczerpany długim czuwaniem, zdał się na sen i los. Ciężką chłopską ręką Miksza pogłaskał jedyną pozostałą kurę, zdrętwiałą ze strachu, i wypuścił ją na podwórze. Następnie podniósł wieko nabite krzywymi gwoździami, a gdy wyrżał wilgotny pysk zwierzęcia, cofnął go silnym uderzeniem ręki. Nie mniej zręcznie przeciągnął zardzewiały drut przez nozdrza tchórza, związał mu łapy i powiesił zwierzę na futrynie. Smród niósł się potworny. Miksza najpierw wykonał cięcie wokół gardła, jak purpurowy naszyjnik, potem dwa inne u nasady łap. Zdarłszy skórę wokół szyi, wyciął jeszcze dwa otwory na palce, jak dziurki do guzików.

Zbudzony przeraźliwym piskiem zwierzęcia albo koszmarnym snem, nagle pojawia się reb Mendel. Połą wymiętego kaftana zatyka nos i patrzy przekrwionymi, przerażonymi oczami na żywy, krwawy kłęb, który wisi i kurczy się na drucie. Miksza wyciera nóż o trawę, prostuje się i mówi: „Uwolniłem was od tchórzy, reb Mendel, raz na zawsze”.

Kiedy wreszcie reb Mendel zdołał się odezwać, głos jego zabrzmiał ochryple i strasznie, jak głos proroka: „Niech pan zmyje krew z rąk i twarzy. I niech pan będzie przeklęty, Herr Mikszáth”.

NASTĘPSTWA

Wkrótce Miksza przekonał się na własnej skórze, co znaczy przekleństwo reb Mendla: w całym obwodzie antonowskim majstrowie zasięgali opinii o czeladnikach nie gdzie indziej, jak u niego. Na dźwięk imienia Mikszy Żyd zaczynał bluźnić w języku jidysz i hebrajskim na przemian, rwał włosy z głowy, jakby chodziło o samego dybuka. Nie chciał go przyjąć do pracy nawet reb Jusef, najgorszy ze wszystkich majstrów, nie tylko krawców. Dowiedziawszy się o przekleństwie reb Mendla, zwolnił Mikszę po jednym dniu. Miksza w zamian przyrzekł sobie uroczyście, że zemści się na talmudystach za obrazę.

AJMIKE

W tym samym roku Miksza poznaje niejakiego Ajmike, E.W. Ajmike, który przedstawiał się jako student prawa. Ów Ajmike pracował do niedawna w zakładach Diegtiariowa jako kierownik magazynu, został jednak zwolniony, przynajmniej tak twierdził, ze względu na swoją nielegalną działalność. Miksza i Ajmike, zbliżeni tą samą nienawiścią, usiłują zarobić na życie, uczestnicząc w nagonkach organizowanych w tej okolicy przez hrabiego Bagriana; lumpenproletariat z Antonowki, w roli psów, uczestniczył w tych łowach panów z Bukowiny i Zakarpacia. W gęstym cieniu wiązowych lasów, gdzie z dala dobiegały głosy myśliwskich rogów i nerwowe ujadanie psów gończych, Ajmike mówi Mikszy o przyszłości bez nagonek, panów i rogów myśliwskich. Kiedy zabrzmiało ha-la-li, Miksza ledwie zdążył dobiec do miejsca, gdzie lała się krew dzika, a panowie przy akompaniamencie piekielnego ujadania dogów stukali się krzywymi, oprawnymi w srebro rogami-pucharami, które wychyla się duszkiem, do dna.

Tenże Ajmike (którego po upływie dwóch miesięcy znowu zatrudniono w zakładach Diegtiariowa) na tajnym zebraniu w piwnicy któregoś z domów na przedmieściu Antonowki przyjmuje Mikszę do organizacji. Mówi z naciskiem, że powinien podjąć jakąś pracę, by nie stępiało w nim ostrze rewolucji.

Przypadek idzie Mikszy na rękę. Pewnego sierpniowego popołudnia, gdy leży w rowie obok drogi pocztowej na skraju wsi, przejeżdża tamtędy dwukółką Herr Baltescu. „Czy to prawda”, pyta, „że odarłeś żywego tchórza i wyróciłeś skórę na drugą stronę, jak rękawiczkę?” – „Prawda”, odpowiada Miksza, „ale panu, Herr Baltescu, nic do tego”. „Od jutra możesz pracować u mnie”, mówi Herr Baltescu, niezrażony zuchwałością Mikszy „Musisz tylko wiedzieć”, woła już z daleka, „że jagnięta są astrachańskie”. „Kto potrafi odrzeć żywcem tchórza, poradzi sobie także ze skórą astrachańską, nawet bez nacięcia na palce”, krzyczy za nim Miksza, pewien swego.

ZADANIE

Pod koniec września Miksza wraca rowerem z posiadłości Herr Baltescu, antonowskiego handlarza futer. Czerwony obłok nad lasem zapowiada jesienne wiatry. Po drodze dołącza do niego Ajmike na swym błyszczącym rowerze. Jakiś czas jadą równolegle, w milczeniu. Wreszcie Ajmike wyznacza spotkanie na jutrzejszy wieczór i na skrzyżowaniu nagle skręca w boczną drogę.

Miksza przychodzi o wyznaczonej porze, daje umówiony znak. Ajmike otwiera drzwi, nie zapalając światła. „Powień krótko”, mówi. „Každemu z naszych członków wyznaczyłem spotkanie w innym miejscu i o innej porze. Tylko w jednym z tych miejsc pojawili się szpicle”. Tu przerywa. „W młynie Bagrianów”, dodaje po chwili. Miksza czeka w milczeniu, by usłyszeć nazwisko zdrajcy. „Nie pytasz”, mówi Ajmike, „kim jest ten, któremu wyznaczyłem spotkanie w młynie Bagrianów?” – „Kim jest, tym jest”, odpowiada lakonicznie Miksza. „Nie chciałbym być w jego skórze”.

Tego wieczoru Ajmike nie podał nazwiska zdrajcy. Nie podał zhańbionego nazwiska nigdy, jakby nie mogło mu przejść przez usta. Powiedział tylko Mikszy, że wierzy w jego oddanie i nienawiść. I dodał: „Ujrzysz twarz zdrajcy. Uważaj, żebyś się nie nabrał: twarz zdrajcy może stwarzać pozory największej sprawiedliwości”.

Miksza ma bezsenną noc. Przymierza śmiercionośną maskę zdrajcy do twarzy współbojowników. Maskę przylega do rysów każdego, ale nie całkiem. W gumowym fartuchu, z rękoma zakrwawionymi po łokcie, cały następny dzień spędza na zarzynaniu i oprawianiu jagniąt Herr Baltescu. Wieczorem myje się u wodopoju, zakłada odświętny garnitur, zatyka czerwony goździk za wstążkę kapelusza i podjeżdża rowerem do lasu. Drogę do młyna przebywa pieszo, przez jesienny las, depcząc zeschnięte liście, które tłumią okrutną twardość jego kroków.

TWARZ ZDRAJCY

Oparta o zardzewiałe ogrodzenie śluzy, zapatrzona w mętne wiry, czekała na niego Hanna Krzyżewska. Obok wysłużonego, butwiejącego młyna Bagrianów, patrząc, jak woda unosi żółte liście, rozmyślała zapewne o smutnym przemijaniu pór roku. Miała piegi na twarzy (teraz, w półmroku jesiennego wieczoru, ledwo widoczne), ale nie musiało to być oznaką zdrady – było raczej znamieniem rasy i przekleństwa. Może miesiąc temu dziewczyna pojawiła się w Antonowce po ucieczce z Polski, gdzie poszukiwała jej policja. Zanim dotarła do granicy, przeleżała pięć godzin w lodowatej wodzie tendra, krzepiąc się na duchu wierszami Broniewskiego. Towarzysze wyrobili Hannie fałszywe papiery, sprawdzivszy przedtem jej przeszłość: w swojej typowości była bez zarzutu (oprócz niewielkiej plamy pochodzenia mieszczańskiego). W Mukaczewie dawała lekcje niemieckiego (z wyraźną naleciałością jidysz), była łączniczką między komórką mukaczewską i antonowską, czytała Klarę Zetkin i Lafargue'a.

WYKONANIE ZADANIA

Naśladowując sposób zachowania Ajmikego, Miksza nie powiedział ani słowa. Prawdę mówiąc, miał do tego większe prawo niż Ajmike, zwłaszcza, że zobaczył Twarz Zdrajcy. Czy w tamtej chwili wydało mu się, że do twarzy Hanny Krzyżewskiej, twarzy obsypanej piegami jak piaskiem, przylega maska zdrajcy niby złota maska pośmiertna? Dokumenty, do których się odwołujemy, przemawiają okrutnym językiem faktów, a słowo *dusza* kojarzy się w nich z bluźnierstwem.

Oto, co można stwierdzić z pewnością: w roli narzędzia sprawiedliwości Miksza, bez słowa, objął swoimi krótkimi palcami szyję dziewczyny i zaciskał je do chwili, gdy ciało Hanny Krzyżewskiej się osunęło. Wtedy zatrzymał się na moment. Zgodnie z okrutnymi prawami zbrodni trzeba było usunąć zwłoki. Nachylił się nad dziewczyną, popatrzył wokół siebie (jedynie groźne cienie drzew), potem chwycił ją za nogi i zawlókł do rzeki. To, co działo się dalej, od chwili, gdy wrzucił ciało do wody, przypomina jakąś prastarą opowieść, w której śmierć ucieka się do rozmaitych forteli, by zapewnić tryumf sprawiedliwości, unikając ofiar wśród dzieci i dziewcz. Pośrodku rozchodzących się kręgów Miksza ujrzał ciało topielicy i posłyszał jej rozpaczliwe jęki.

Nie było to złudzenie ani upiór, którego sprowadza nieczyste sumienie morderców. Było to ciało Hanny Krzyżewskiej, która przecinała lodowatą wodę panicznymi, ale pewnymi ruchami, uwalniając się przy tym od ciężkiej guni ze skóry jagnięcej, z dwiema czerwonymi lalujami naszytymi powyżej pasa. Morderca (którego nie powinniśmy jeszcze tak nazywać) patrzy jak skamieniały na dziewczynę oddalającą się ku przeciwnemu brzegowi, na skórzaną bukowińską guńkę, unoszoną szybkim nurtem. Wahanie trwa zaledwie moment. Miksza popędził z biegiem rzeki i przez most kolejowy przedostał się na drugi brzeg, właśnie w chwili, gdy za jego plecami rozległ się długi jęk lokomotywy – a pociąg już z daleka dźwięczną wibracją szyn zapowiadał, że nadjeżdża.

Dziewczyna leży w przybrzeżnym mule między poskręcanyimi korzeniami wierzb. Ciężko dysząc, usiłuje wstać, ale nie ma już siły, żeby uciec. Miksza wbija jej w pierś swój krótki bukowiński nóż o rękojeści z drzewa różanego. Sam spocony i zdyszany, z trudem wychwytuje pojedyncze słowa z mętnego, spazmatycznego potoku, który przedziera się przez błoto, krew i jęk. Ciosy wymierza szybko, teraz już, można powiedzieć, ze sprawiedliwą nienawiścią, która dodaje siły jego ręce. Poprzez stukot kół pociągu i głuchy huk żelaznej konstrukcji mostu dziewczyna usiłuje coś powiedzieć. Rzęzi po rumuńsku, po polsku, w jidysz i na przemian po ukraińsku, jakby sprawa jej śmierci była wyłącznie następstwem wielkiego, fatalnego nieporozumienia, którego dalekie korzenie tkwią w biblijnym pomieszaniu języków.

Ten, kto widział, jak trup zmartwychwstaje, nie podda się już złudzeniom. Miksza wyjął ze zwłok wnętrzości, aby ciało nie wypłynęło, a potem wepchnął je do wody.

NIEZIDENTYFIKOWANE ZWŁOKI

Ogłoszenie czechosłowackiej policji w piśmie „Hlasatel policejny” z opisem topielicy w wieku od osiemnastu do dwudziestu lat, rudowłosej, ze zdrowym uzębieniem, pozostało bez echa. Ciało znaleziono po tygodniu, jakieś siedem mil w dół rzeki od miejsca, gdzie dokonana się zbrodnia. Mimo zainteresowania policji trzech sąsiadujących krajów zagadka ofiary nie została rozwiązana. Taka policyjna troska wydaje się zrozumiała w niepewnych czasach wzajemnych podejrzeń i szpiegowania. W odróżnieniu od dzienników, które też zamieściły wiadomość o topielicy, wspomniane pismo policyjne podało szczegółowy opis śmiertelnych ran. Omówiwszy wszystkie obrażenia w okolicy szyi, pleców i piersi, doliczono się dwudziestu siedmiu ciosów, zadanych „ostrym narzędziem, najprawdopodobniej nożem”. Jeden z artykułów powiadamia o sposobie, w jaki zwłoki zostały pozbawione wnętrzości, i wspomina, że sprawca zbrodni „niechybnie znał się na anatomii”. Pomimo pewnych wątpliwości przypadek ten wydawał się zbrodnią popełnioną w afekcie i jako taki, po sześciomiesięcznym daremnym śledztwie, został odłożony *ad acta*.

TAJEMNICZE ZWIĄZKI

Pod koniec listopada 1934 roku w Antonowce aresztowano niejakiego Ajmike, E.W. Ajmike, podejrzanego o podpalenie magazynu Diegtiariowa. Zdarzenie to odsłoniło cały łańcuch zagadkowych i tajemniczych powiązań. W chwili, gdy wybuchł pożar, Ajmike kryje się w pobliskiej karczynie, dokąd wyraźne ósemki krętych śladów kół w gęstym jesiennym błocie doprowadzają policję jak nić Ariadny. Na posterunku wystraszony Ajmike składa niespodziewane, fantastycznie brzmiące zeznanie: to on był tym, który donosił władzom o tajnych zebraniach politycznych w piwnicy domu przy Jefimowskiej 5. Wśród mnóstwa mętnych i sprzecznych przyczyn, które do tego doprowadziły, podaje swoje sympatie do anarchistów. Nie uwierzono mu. Wytrzymał jeszcze kilka dni w izolacie i w krzyżowym ogniu pytań wspominał o zabitej dziewczynie. Uważał to za niezбитy argument na swoją korzyść: ponieważ członkowie komórki mieli niewątpliwe powody do podejrzeń, że ktoś na nich donosi, musiał poświęcić jednego z nich. Z wielu względów najwygodniej było uznać za zdrajczynię Hannę Krzyżewską, która niedawno wstąpiła do organizacji. Ajmike opisał szczegółowo wygląd dziewczyny, miejsce i sposób, w jaki została zabita, oraz podał nazwisko wykonawcy wyroku¹.

¹ Swoją tajemnicę Ajmike zabrał do grobu: pierwszej nocy po przyznaniu się do winy powiesił się w celi. Okoliczności wywołują jednak uzasadnione podejrzenia, że został zabity. Niektórzy badacze utrzymują, że Ajmike był niemieckim szpiegiem i prowokatorem (który nie sprostał swemu zadaniu); według innych był zwyczajnym szpiclem, którego sama policja usunęła jako niebezpiecznego świadka; nie można też wykluczyć przypuszczenia wysuniętego przez Gula, jakoby Ajmike stracił głowę dla pięknej Polki, która nie chciała go zaszczycić swoją miłością.

ZEZNANIE

Kiedy Czechosłowacja zawarła ze Związkiem Sowieckim układ o wzajemnej pomocy i przynajmniej na pewien czas odsunęła zawsze drażliwy problem granic, przed policją obu krajów otworzyło się szerokie pole współpracy. Policja czechosłowacka przekazała Sowiecom nazwiska kilku Niemców sudeckich, niewątpliwych szpiegów Reichu, a Sowietci w zamian dostarczyli jej dane o byłych obywatelach Czechosłowacji, bez większego znaczenia dla sowieckiego wywiadu, i o tych, którzy swojej ucieczki do Związku Sowieckiego nie potrafili uzasadnić oczywistymi przyczynami natury ideologicznej. Wśród tych ostatnich znajdowało się nazwisko Mikszátha Antescu, zwanego Mikszą. Władze czechosłowackie uznały go za mordercę, ponieważ nietrudno było powiązać przypadek zamordowanej dziewczyny ze zniknięciem Antescu i zeznaniami E. W. Ajmikego. Zażądały od władz sowieckich wydania Mikszátha Antescu.

Sowieckie organa dopiero wówczas zwróciły uwagę na obywatela M.L. Hentesy'ego, pracownika sowchozu „Krasnaja Swoboda”. Był przodownikiem pracy, cenionym w tamtejszej rzeźni. Aresztowano go w listopadzie 1936 roku. Po dziewięciu miesiącach izolacji i tortur, podczas których wybito mu prawie wszystkie zęby i złamano obojczyk, Miksza zażądał widzenia ze śledczym. Dostał krzesło, kartkę lichego papieru i ołówek. Powiedziano mu: „Pisz i nie marudź!”

Miksza przyznał czarno na białym, że nieco ponad rok temu, wykonując zadanie partyjne, zabił zdrajczynię i prowokatorkę nazwiskiem Hanna Krzyżewska, ale zdecydowanie zaprzeczył, że ją zgwałcił. Gdy twardą chłopską ręką pisał to zeznanie, ze ściany skromnej kancelarii śledczego spoglądał na niego ten, któremu musiało się wierzyć. Wpatrzył się Miksza w ten portret, w tę dobronudszą, uśmiechniętą twarz, twarz mądrego starca, która przypominała mu dziadka, wpatrzył się błagalnie i z wielkim szacunkiem. Po miesiącach głodu, bicia i tortur był to jedyny jasny moment w jego życiu, ta ciepła, przyjemna kancelaria sędziego śledczego, gdzie trzeszczy stary rosyjski piec, jak kiedyś, dawno, w domu rodziców na Bukowinie, ten spokój, którego nie zakłócają krzyki więźniów i głuche uderzenia, ten portret, który ojcowsko uśmiecha się do niego ze ściany.

W nagłym przypływie wiary Miksza przyznał się do wszystkiego: że był agentem gestapo i że jego działania miały na celu podkopanie władzy sowieckiej. Przy okazji podał jeszcze nazwiska dwunastu uczestników wielkiego spisku. Oto one: I.W. Torbukow, inżynier; I.K. Goldman, dyrektor fabryki środków chemicznych w Kemerowie; A.K. Bierlicki, geodeta, sekretarz partii w sowchozie; M.W. Korielin, sędzia sądu rejonowego; F. M. Olszewska, przewodnicząca kołchozu w Krasnojarsku; S.I. Sołowjowa, historyk; E.W. Kwapilova, profesorka; M.M. Niechawkin, duchowny; D.M. Dogatkin, fizyk; J.K. Marescu, zecer; E.M. Mendel, mistrz krawiecki; M.L. Jusef, krawiec.

Wszyscy dostali po dwadzieścia lat. Człowiek wymieniony jako przywódca i organizator spisku, A.K. Bierlicki, został rozstrzelany, w huku włączonych silników, o świcie 18 maja 1938 roku, na Butyrkach, razem z dwudziestoma dziewięcioma członkami innej grupy spiskowej.

Michał Antescu umarł na pelagré w łagrze Izwiestkowo, w przeddzień Nowego Roku 1941.

MACIORA, KTÓRA POŻERA SWOJE
MŁODE

Borislavowi Pekiciowi

KRAINA WIECZNOŚCI

Pierwszy akt tragedii albo komedii (w scholastycznym znaczeniu), której postacią centralną jest niejaki Gould Verschoyle, zaczyna się, jak każda tragedia na tej ziemi, narodzinami. Pogardzane pozytywistyczne wyobrażenie o wpływie środowiska i rasy można odnosić do istot ludzkich równie dobrze, jak do malarstwa flamandzkiego. Pierwszy akt dramatu zaczyna się zatem w Irlandii, „najdalszej Thule, kraju po tamtej stronie poznania”, jak ją nazywa pewien sobowtór Dedalusa. W Irlandii, „krainie smutku, głodu, rozpacz i przemocy”, jak ją określa inny badacz, mniej skłonny do mitologizowania, a bardziej do trudnej prozy tej ziemi. Jednakże i u niego pewna sztuczność liryczna pozostaje raczej w niezgodzie z surowością krajobrazu: „Wysunięta najdalej na zachód, Irlandia jest ostatnim krajem, który widzi, jak gaśnie dzień. Nad Europą zapadła już noc, a tymczasem słońce z ukosa okrywa jeszcze purpurą fiordy i pustkowia na zachodzie. Lecz gdy tylko nadciągną ciemne chmury, gdy spadnie gwiazda, wyspa znowu staje się, jak w legendzie, daleką krainą, spowitą mgłami i mrokiem, która długo oznaczała dla żeglarzy granicę znanego świata. A po tamtej stronie jest otchłań: mroczne morze, w którym niegdyś umarli odnajdywali krainę wieczności. Ich czarne łodzie, na wybrzeżach o obco brzmiących nazwach, świadczą o czasach, kiedy podróże miały w sobie coś z metafizyki: wzywają do snów bezbrzeżnych, bezpowrotnych”.

EKSCENTRYCY

Dublin to miasto, które hoduje menażerię ekscentryków, najznakomitszą w całym świecie zachodnim: szlachetnie rozczarowanych, agresywną bohemę, profesorów w surdutach, chimeryczne prostytutki, słynnych opojów, obszarpanych proroków, fanatycznych rewolucjonistów, chorych nacjonalistów, szalonych anarchistów, wdowy naszpikowane grzebieniami i biżuterią, zakapturzone osoby duchowne – cały Boży dzień paraduje nad rzeką Liffey ten karnawałowy pochód. Obraz stworzony przez Bourniquela, przy braku wiarygodnych źródeł, pozwala nam przynajmniej domyślać się doświadczeń z tej wyspy, jakie niechybnie musi wynieść Gould Verschoyle, doświadczeń, które przenikają duszę tak, jak w parne letnie popołudnia przenika płuca okropny smród mączki rybnej z fabryki konserw, znajdującej się obok portu. W pochopnej antycypacji skłonni jesteśmy widzieć ów pochód karnawałowy jako ostatni obraz, który – w szybko przesuwanym się filmie – ujrzy nasz bohater: szlachetną menażerię irlandzkich ekscentryków (poniekąd sam do nich należał), podążającą z biegiem rzeki Liffey aż do przystani i znikającą tam jak w piekle.

CZARNE BAGNO

Gould Verschoyle urodził się na jednym z przedmieść Dublina, w pobliżu portu. Słyszał głos syren okrętowych, przejmujące wycie, które mówi młodemu, prawemu sercu, że różne światy i narody istnieją także poza Dubh-Linnem, tym czarnym bagnem, gdzie smród i niesprawiedliwość przytłaczają bardziej niż w innych miastach. Przykład ojca, który z przekupnego celnika awansował na urzędnika jeszcze nędzniejszego (w sensie moralnym), a z zapamiętałego zwolennika Parnella zamienił się w lizusa i purytanina, napełnił go odrazą do własnej ojczyzny, odrazą stanowiącą w gruncie rzeczy jedną z form wynaturzonego, masochistycznego patriotyzmu. „Pęknięte lustro dziewczyny do wszystkiego, maciora, która pożera swoje młode” – notuje osiemnastoletni Verschoyle tę surową opinię, a odnosi się ona raczej do Irlandii niż do jego rodziny.

Zmęczony daremną gadanią w ponurych piwnicach, gdzie knuje się fikcyjne spiski, a rzekomi duchowni, poeci i zdrajcy planują zamachy, Gould Verschoyle zapisuje w notesie jedno zdanie; wypowiada je jakiś wysoki, krótkowzroczny student, nawet nie przeczuwając, że słowa te spowodują tragiczne następstwa: „Ktokolwiek ma choć trochę miłości własnej, nie może znieść myśli o pozostaniu w Irlandii i wybiera wygnanie, uciekając z kraju, którego jakby dotknęła ręka zagniewanego Jupitera”. Poniżej widnieje data: 19 maja 1935 roku.

W tym samym roku, w sierpniu, Gould Verschoyle zaciąga się na statek handlowy „Ringsend”, płynący do Maroka. Po trzydniowym postoju w Marsylii „Ringsend” wychodzi w morze bez jednego członka załogi. Mówiąc dokładniej, miejsce radiotelegrafisty Verschoyle’a zajmuje jakiś nowicjusz. W lutym 1936 roku odnajdujemy Goulda Verschoyle’a w okolicach Guadalajary, w 15. brygadzie anglo-amerykańskiej, która nosi imię legendarnego Lincolna. Verschoyle ma wtedy dwadzieścia osiem lat.

WYBLAKŁE FOTOGRAFIE

Autentycznych dokumentów, choćby przypominały palimpsesty, przez moment tu brakuje. Życie Goulda Verschoyle'a w sposób niejasny splata się z życiem i śmiercią młodej republiki hiszpańskiej. Mamy tylko dwie fotografie. Na jednej Verschoyle z nieznanym bojownikiem stoi koło ruin świątyni. Na odwrocie napis (ręką Verschoyle'a): „Alcázar. Viva la Republica!” Baskijski beret zasłania połowę jego wysokiego czoła, na wargach błąka się uśmiech, z którego można odczytać (z dzisiejszej perspektywy) tryumf zwycięzców i gorzyc pokonanych – przeciwstawne refleksy, tworzące, niby zmarszczka na czole, cień niechybnej śmierci. Druga fotografia grupowa, z 5 listopada 1936 roku, jest bardzo niewyraźna. Verschoyle w drugim szeregu, nadal w baskijskim berecie na bakier. Przed oddziałem stojącym w szyku rozciąga się jakiś zryty teren – można by pomyśleć, że znajdujemy się na cmentarzu. Czy ta kompania honorowa oddała salwę w niebo, czy w człowieka? Twarz Goulda Verschoyle'a zazdrośnie strzeże tajemnicy. Wysoko nad żołnierzami, na dalekim błękitnym horyzoncie, unosi się aeroplan, niby krucyfiks.

OSTROŻNE DOMYSŁY

Widzę Verschoyle'a podczas wycofywania się z Malagi, w skórzanej kurtce zdjętej z martwego falangisty (pod kurtką było tylko nagie, chude ciało i srebrny krzyżyk na rzemyku); widzę, jak biegnie do ataku na bagnety, unoszony własnym krzykiem niby skrzydłami anioła zagłady; widzę, jak przekrzykuje się z anarchistami, którzy zatknęli czarną flagę na nagich zboczach koło Guadalajary, gotowi umrzeć wzniosłą i bezsensowną śmiercią; widzę, jak opodal jakiegoś cmentarza w pobliżu Bilbao słucha pod rozżarzoną niebem wykładów, w których jak przy stworzeniu świata, rozgranicza się życie i śmierć, niebo i ziemię, wolność i tyranie; widzę, jak bezsilnie opróżnia cały magazynek w niebo, do samolotów, i zaraz potem pada, zasypany ogniem, ziemią i szrapnelami; widzę, jak potrząsa martwym ciałem studenta, Armanda Geoffroya, który umarł na jego rękach, gdzieś w okolicach Santander; widzę, jak z brudnym bandażem na głowie leży w szpitalu polowym pod Gijon, słuchając majaczenia rannych, wśród których ktoś wzywa Boga po irlandzku; widzę, jak rozmawia z młodą sanitariuszką, która usypia go niby dziecko, śpiewając piosenkę w nieznanym mu języku, a wkrótce potem, w półśnie, oszołomiony morfiną, dostrzega jeszcze, jak ta kobieta wspina się na łóżko Polaka z amputowaną nogą, i w chwilę później słyszy, niczym koszmar, jej miłosne pojękiwanie; widzę, jak gdzieś w Katalonii, w prowizorycznym sztabie batalionu, siedzi przy aparacie Morse'a i ponawia rozpaczliwe wołania o pomoc, a tymczasem z pobliskiego cmentarza radio nadaje pogodne i samobójcze pieśni anarchistów; widzę go cierpiącego na zapalenie spojówek, a także na biegunkę; widzę, jak nagi do pasa goli się u studni, w której woda jest zatruta.

ANTRAKT

Pod koniec maja 1937 roku, gdzieś na przedmieściach Barcelony, Verschoyle zgłasza się do raportu u dowódcy brygady. Dowódca, ledwie czterdziestoletni, robi wrażenie dobrze trzymającego się starca. Nachylny nad biurkiem, podpisuje wyroki śmierci. Jego zastępca, zapięty na ostatni guzik, w błyszczących myśliwskich butach z cholewami, stojąc obok, przykłada bibułę na każdy podpis. W pokoju jest duszno. Dowódca wyciera twarz batystową chusteczką. Słysząc dalekie, regularne wybuchy pocisków ciężkiego kalibru. Dowódca daje Verschoyle'owi znak, by mówił. „Szyfrowane rozkazy trafiają w niepożądane ręce”, oświadcza Verschoyle. „Czyje?“, pyta dowódca, trochę jakby nieobecny. Irlandczyk zwleka, spogląda podejrzliwie na zastępcę dowódcy. Dowódca przechodzi na słownik spod Verdun: „Mów, synku, w czyje ręce?”. Irlandczyk milczy jeszcze chwilę, po czym nachyla się nad biurkiem i szepcze mu coś do ucha. Dowódca wstaje, podchodzi do Verschoyle'a i odprowadza go do drzwi, klepiąc po ramieniu, jak klepie się rekrutów i fantastów. To wszystko.

WEZWANIE DO PODRÓŻY

Koszmarną noc z trzydziestego pierwszego maja na pierwszego czerwca 1937 roku spędza Verschoyle przy aparacie Morse'a, wysyłając surowe rozkazy na pozycje wysunięte ku górom Almerii. Noc jest duszna i rozświetlona raketami, które nadają okolicy jakiś nierzeczywisty wygląd. Przed świtem służbę przy aparacie przejmuje młody Bask. Verschoyle wychodzi do lasu, dziesięć kroków od radiostacji, i wyczerpany, kładzie się w wilgotnej trawie, twarzą do ziemi.

Budzi go kurier ze sztabu. Verschoyle spogląda najpierw w niebo, potem na zegarek: nie spał dłużej niż czterdzieści minut. Kurier przekazuje mu rozkaz tonem nieodpowiednim do swojej rangi: w porcie stoi statek, na którym nie działa radio; trzeba je naprawić; po wykonaniu rozkazu złożyć meldunek zastępcy dowódcy; *Viva la Republica!* Verschoyle biegnie do namiotu, bierze skórzaną torbę z narzędziami, idzie z kurierem do portu. Na bramie urzędu celnego ktoś wymalował w nocy białą farbą, która jeszcze ścieka, zwycięskie hasło: *viva la muerte!* Na otwartym morzu, daleko od doków, rysuje się w porannej mgiełce sylwetka statku. Kurier i marynarze w łodzi przycumowanej do mola wymieniają zbyteczne hasła. Verschoyle wsiada do łodzi, nie obejrząwszy się na wybrzeże.

OKUTE DRZWI

Naokoło pływają nadpalone deski, zapewne szczątki statku storpedowanego nocą w pobliżu brzegu. Verschoyle patrzy na szaropopielate morze, którego widok nasuwa mu prawdopodobnie wspomnienie Irlandii, wzgardzonej i godnej pogardy. (Trudno uwierzyć, by w tej pogardzie nie było choć odrobiny nostalgii). Marynarze milczą, zajęci wiosłowaniem. Szybko zbliżają się do statku i Verschoyle zauważa ludzi obserwujących ich z górnego pokładu: sternik podaje lornetkę kapitanowi.

A oto kilka szczegółów technicznych, może nieważnych dla dalszego toku opowieści: jest to stary, drewniany statek parowy, o wyporności jakichś pięciuset ton, który oficjalnie przewozi antracyt do francuskiego portu Rouen. Części mosiężne – poręcze, śruby, klamki, ramy okienne – pozieleniały od patyny, a banderę, pokrytą pyłem węglowym, trudno byłoby zidentyfikować.

Kiedy Verschoyle wdrapał się po śliskiej drabince sznurowej, w eskorcie dwóch marynarzy z łodzi (jeden wziął mu z ręki skórzaną torbę, żeby gość mógł łatwiej się wspinać), na pokładzie nie było już nikogo. Dwaj marynarze zaprowadzili go do pustej kajuty pod pokładem. Drzwi miała również okute pozieleniałym mosiądzem bez połysku. Verschoyle usłyszał, jak klucz obraca się w zamku. W tej samej chwili zorientował się, że statek odpływa. Zrozumiał, raczej z wściekłością niż ze strachem, że wpadł w pułapkę, naiwnie jak żółtodziób.

Podróż trwała osiem dni. Te osiem dni i nocy Verschoyle spędził pod pokładem, w ciasnej kajucie obok maszynowni, gdzie ogłuszający huk silnika mełł, jak żarna, jego myśli i sny. W dziwnym pogodzeniu z losem (jak się przekonamy, pozornym) nie bił pięścią w drzwi, nie wzywał pomocy. Chyba nawet nie myślał o ucieczce, byłoby to zresztą daremne. Rano mył się nad blaszaną umywalką bez lustra, spoglądał na jedzenie, które trzy razy dziennie podawano mu przez okrągłe okienko w okutych drzwiach (śledzie, łosoś, czarny chleb), po czym nie tykając niczego prócz wody, kładł się znowu na twardą koję bez pościeli. Przez okno kajuty wpatrywał się w monotonne falowanie morza.

Trzeciego dnia Verschoyle budzi się z koszmarne go snu: na wąskiej ławce naprzeciw jego koi siedzą dwaj mężczyźni i przyglądają mu się w milczeniu. Verschoyle zrywa się gwałtownie.

TOWARZYSZE PODRÓŻY

Towarzysze podróży, niebieskoocy, o zdrowych, białych zębach, uśmiechają się przyjaźnie do Verschoyle'a. Z jakąś nienaturalną grzecznością (nienaturalną ze względu na miejsce i czas) oni też nagle wstają i z lekkim skinieniem głowy wymieniają swoje nazwiska. Verschoyle'owi, który także się przedstawia, głoski własnego nazwiska wydają się naraz całkiem nieznanymi i obcymi.

Następnych pięć dni trzej mężczyźni spędzili w ciasnej, nagrzejonej kajucie, za okutymi drzwiami, na strasznej grze hazardowej, podobnej do pokera, w której za przegraną płaci się życiem. Przerewajając dyskusję wyłącznie po to, by przełknąć kawałek suszonego śledzia (czwartego dnia podróży Irlandczyk zaczął jeść) albo zwilżyć zaschnięte wargi i odpocząć od przekrzykiwania się (a wtedy nieznośny huk maszyny stawał się odwrotną stroną ciszy), trzej mężczyźni mówili o sprawiedliwości, o wolności, o proletariacie i celach rewolucji. Płomiennie uzasadniali swoje przekonania, jakby umyślnie wybrali ciemną kajutę statku na międzynarodowych wodach jako jedyny możliwy obiektywny i neutralny teren do tej straszliwej gry argumentów, pasji, przekonań i fanatyzmu. Nieogoleni, spoceni i wygłodnieli, z podwiniętymi rękawami, dyskusję przerwali tylko raz; wówczas to, piątego dnia podróży, dwaj współtowarzysze (o których prócz nazwisk wiadomo jedynie to, że mieli mniej więcej po dwadzieścia lat i nie byli członkami załogi) na kilka godzin zostawili Verschoyle'a samego. Przez ogłuszający huk silnika słyszał wtedy z pokładu dźwięki fokstrota, który wydał mu się znany.

Przed północą muzyka nagle zamarła, a współtowarzysze podróży wrócili podpici. Powiadomili Verschoyle'a, że na statku jest święto: na podstawie depeszy, którą radiotelegrafista odebrał tego popołudnia, statek „Witebsk” zmienił nazwę na „Ordżonikidze”. Poczęstowali go wódką. Odmówił jednak w obawie, żeby go nie otruto. Młodzi ludzie wyczuli to i wypili wódkę, śmiejąc się z nieufności Irlandczyka.

Nagle oraz niespodziewane ustanie huku maszyn w jednej chwili przerwało rozmowę w kajucie, jakby ów zabójczy rytm był rytualnym akompaniamentem, który dotychczas nadawał siłę i polot ich argumentom i myślom. Milczeli całkiem oniemiałi, wsłuchując się w plusk fal uderzających o burty, stukot kroków na pokładzie i długie ślizganie się ciężkich łańcuchów. Minęła północ, kiedy otwarły się drzwi kajuty i trzech mężczyźni opuścili miejsce swego pobytu, pełne niedopałków i ości.

KAJDANKI

„Witebsk-Ordżonikidze” rzucił kotwicę na otwartym morzu, dziewięć mil od Leningradu. Ze snopa dalekich świateł na wybrzeżu wkrótce oddzieliło się jedno i zaczęło rosnać, a wiatr przyniósł, jako forpocztę, huk potężnych silników zbliżającej się łodzi. Trzech ludzi w mundurach, jeden w stopniu kapitana i dwaj bez dystynkcji, podeszło do Verschoyle’a i wymierzyło w niego rewolwery. Verschoyle podniósł ręce. Obszukali go i przewiązali w pasie liną. Irlandczyk posłusznie zszedł po drabince sznurowej i usiadł w motorówce, gdzie przykuto go kajdankami do mosiężnej poręczy. Spoglądał na widmową sylwetkę oświetlonego reflektorami statku. Widział, jak dwaj jego towarzysze podróży, też przewiązani w pasie liną, schodzą po drabince. Wkrótce wszyscy trzej siedzieli obok siebie w łodzi, przykuci kajdankami do poręczy.

SPRAWIEDLIWY WYROK

Prawdziwy wynik bitwy na słowa i argumenty, jaką w ciągu sześciu dni i nocy stoczyli Irlandczyk Gould Verschoyle oraz dwaj jego towarzysze podróży, pozostanie najprawdopodobniej tajemnicą dla badaczy współczesnych idei. Tajemnicę niezwykle interesującą pod względem psychologicznym i prawnym stanowi również pytanie, czy człowiek przytłoczony strachem i rozpaczą potrafi swoim dowodom i swemu doświadczeniu nadać taką siłę, aby bez nacisku z zewnątrz, bez stosowania przemocy i tortur, zachwiać w świadomości dwóch innych ludzi wszystkim, co wpojono im w ciągu długich lat przez lekturę, wychowanie, wyrabianie nawyków i tresurę.

Może zatem nie trzeba uważać za całkowicie dowolną decyzji sądu, który kierując się zasadami jakiejś wyższej sprawiedliwości, orzekł równie surową karę – osiem lat więzienia – dla każdego z trzech uczestników długiej gry w przekonywanie. Jeżeli nawet przyjmujemy, że tamci dwaj (Wiaczesław Ismaïłowicz Żamojda i Konstantin Michajłowicz Szadrow, tak się bowiem nazywali) w twardej, wyczerpującej polemice ideologicznej zdołali wzbudzić jakieś wątpliwości w głowie republikanina Verschoyle’a (wątpliwości, które mogły mieć dalekosiężne skutki), to istnieje całkiem uzasadniona obawa, że oni także byli narażeni na zgubny wpływ pewnych kontrargumentów. Z bezlitosnej bitwy równorzędnych przeciwników, podobnie jak z krwawej walki kogutów, nikt nie wychodzi bez szwanku, niezależnie od tego, komu przypadnie pusta sława zwycięzcy².

2 Podczas śledztwa Verschoyle uparcie zaprzeczał, jakoby tamtego feralnego dnia, składając raport, szepnął na ucho dowódcy batalionu, że szyfrowane rozkazy trafiają do Moskwy. Nie mógł wtedy wiedzieć, że przed śledczym leżało doniesienie, nadesłane przez zastępcę dowódcy, w którym zostały wiernie przytoczone słowa Irlandczyka, zawierające groźne, bluźniercze podejrzenie, że „sowiecka tajna policja usiłuje przejąć stanowiska dowódcze w Armii Republikańskiej”. Krótkie spotkanie z samym zastępcą dowódcy – Czelustnikowem – na stacji tranzytowej w Karagandzie wyjaśniło mu tajemnicę: dowódca powtórzył swemu zastępcy poufny meldunek Verschoyle’a, jakby chodziło o dobry żart.

FINAL

Ślady dwóch towarzyszy Verschoyle'a urywają się w Murmańsku, na wybrzeżu Morza Barentsa, gdzie podczas straszliwej zimy 1942 roku obaj leżeli w łagiernym lazarecie, na pół ślepi, wycieńczeni szkorbutem. Zęby im powypadały, przypominali starców.

Gould Verschoyle został zamordowany w listopadzie 1945 roku, w Karagandzie, po nieudanej próbie ucieczki. Jego zamarznęte nagie zwłoki, przewiązane drutem, zawieszono głową na dół przed bramą łagru jako przestrogę dla tych, którzy marzyli o rzeczach niemożliwych.

POST SCRIPTUM

W księdze pamiątkowej *Ireland to Spain*, wydanej przez dublińskie Stowarzyszenie Weteranów, nazwisko Goulda Verschoyle'a błędnie umieszczono wśród setki nazwisk irlandzkich republikanów, którzy polegli w bitwie o Brunete. Tak więc przypadła mu niemiła sława z racji uśmiercenia go na osiem lat przed rzeczywistą śmiercią. Słynna bitwa o Brunete, w której dzielnie walczyła brygada imienia Lincoln, rozegrała się nocą z ósmego na dziewiątego lipca 1937 roku.

MECHANICZNE LWY

Hommage à Andre Gidé

SIŁACZ

Jedyna postać historyczna w tym opowiadaniu, Édouard Herriot, przywódca francuskich radykałów, przewodniczący komisji spraw zagranicznych, mer Lyonu, poseł, muzykolog, itd., zajmuje tu może nie dość eksponowane miejsce. Nie dlatego, powiedzmy od razu, że jego osoba ma dla toku opowieści mniejsze znaczenie niż ta druga, która się pojawi, niehistoryczna, lecz nie mniej rzeczywista, ale po prostu dlatego, że o postaciach historycznych istnieją inne dokumenty. Nie zapominajmy, Édouard Herriot sam był pisarzem i pamiętnikarzem³, szanowanym politykiem, którego życiorys można znaleźć w każdej porządnej encyklopedii.

Jedno ze świadectw tak opisuje jego sylwetkę: „Tęgi, mocny, o szerokich ramionach i kanciastej głowie z gęstymi, szczeciniastymi włosami, z twarzą jakby wyciosaną nożem i przeciętą krótkim, gęstym wąsem, sprawiał wrażenie człowieka o wielkiej sile. Jego piękny głos, najsubtelniej cieniujący ton, modulujący akcenty, z łatwością panował nad każdym zamieszaniem. Potrafił władać nim po mistrzowsku, tak jak po mistrzowsku potrafił panować nad wyrazem twarzy”. To samo świadectwo podaje następujący opis jego charakteru:

³ *Mme Récamier et ses amis; La Russie nouvelle; Pourquoi je suis médical-socialiste; Lyon riest plus; Forêt normande; Jadis; Souvenirs; Vie de Beethoven, etc.*

„Prawdziwym spektaklem było oglądać go na mównicy, gdy z tonu poważnego przechodził na żartobliwy, a z poufnego na jerychońskie objawienie jakiejś zasady. Kiedy znalazł się ktoś, kto by zaprzeczył jego słowom, mówca przyjmował to drobne wyzwanie, a gdy tamten wyjaśniał swoje stanowisko, na twarzy Édouarda Herriota rozkwitał szeroki uśmiech – wczesna zapowiedź morderczej uwagi, która po chwili wywoła burzę śmiechu lub aplauz, ku okrutnemu zmieszaniu oponenta, schwytanego w sidła. Uśmiech ten, prawdę mówiąc, zniknął, kiedy krytyka była wypowiedziana obraźliwym tonem. Takie ataki doprowadzały go do szału i wywoływały gwałtowną reakcję z jego strony, zwłaszcza że zawsze miał się na baczności – wrażliwość, którą wielu uznawało za przesadne zarozumialstwo”⁴.

⁴ André Ballet, „Le Monde”, 28 marca 1957.

TEN DRUGI

O drugiej ważnej postaci w tym opowiadaniu, A.L. Czelustnikowie, niewiele wiemy z całą pewnością: miał około czterdziestki, był wysoki, lekko przygarbiony, jasnowłosy, był gadatliwy, lubił się chwalić, lubił kobiety i do niedawna pracował jako redaktor ukraińskiej gazety „Nowaja Zoria”. Grał doskonale w pokera i-skata, potrafił wygrywać na harmonii polki i czastuszki. Inne dotyczące go świadectwa są sprzeczne, więc może i nieważne. Ale je zapisuję, choć niektóre źródła nasuwają uzasadnione wątpliwości: był komisarzem politycznym podczas hiszpańskiej wojny domowej i wyróżnił się jako kawalerzysta w walkach pod Barceloną; pewnej nocy, chory na malarię, z wysoką temperaturą, spał z dwiema sanitariuszkami. Irlandczyka podejrzanego o sabotaż ściągnął podstępnie na sowiecki statek handlowy „Ordżonikidze”, pod pozorem, że trzeba tam naprawić radio; Ordżonikidzego (skądinąd) znał osobiście; przez trzy lata był kochankiem żony bardzo ważnej osobistości (i dlatego właśnie trafił do łagru); jako członek szkolnego zespołu amatorskiego w Woroneżu grał Arkadija w sztuce Ostrowskiego *Las*.

O ile przytoczone informacje, zwłaszcza ta ostatnia, mogą być niepewne, o tyle historię opowiadaną przez Czelustnikowa, w której pojawia się Édouard Herriot, choćby na pierwszy rzut oka wydawała się wytworem fantazji, z pewnością warto odnotować. Czynię to dlatego, że naprawdę trudno wątpić w jej wiarygodność; wszystko przemawia za tym, że niektóre opowieści Czelustnikowa, choć niezwykle, są oparte na rzeczywistych zdarzeniach. A jako dowód najbardziej wiarygodny może posłużyć fakt, że prawdziwość tej opowieści potwierdził w pewien sposób sam Herriot, człowiek o błyskotliwej inteligencji (*une intelligence rayonnante*), jak słusznie określił go Daladier.

Opowiem zatem o dawnym spotkaniu Czelustnikowa z Herriotem tak, jak umiem i potrafię, uwalniając się skwapliwie od okrutnej zmory dokumentów, które ciążą na opowieści. Podejrzliwego i ciekawego czytelnika odsyłam natomiast do załączonej bibliografii, w której znajdzie potrzebne źródła. (Być może mądrzej było zdecydować się na jakąś inną formę, esej czy rozprawę, w których mógłbym się posłużyć dokumentami tak, jak to jest przyjęte. Przeszkadzają mi jednak dwie rzeczy: niezręczność polegająca na przytaczaniu jako dokumentów żywych, ustnych świadectw ludzi godnych zaufania oraz to, iż nie potrafiłem wyrzec się przyjemności płynącej z opowiadania, które pozwala pisarzowi łączyć się, że stwarza świat, czyli jak to się mówi, że go zmienia).

TELEFON I REWOLWER

Tej chłodnej listopadowej nocy 1934 roku Czelustnikow, współpracownik lokalnej gazety, zajmujący się problemami kultury i walki z religią, spał goły jak noworodek, w wielkim arystokratycznym łożu, w ciepłym pokoju na trzecim piętrze, przy ulicy Jegorowka. Jego wypucowane buty z cholewami, koloru malinowego, stały równiutko oparte o łożko, ubranie i bielizna natomiast były rozrzucone po pokoju i pomieszane w nieładzie (oznaka namiętnego pośpiechu) z jedwabną bielizną damską. W pokoju unosił się ciepły zapach potu, wódki i wody kolońskiej.

Czelustnikowowi śniło się (jeżeli można mu wierzyć), że ma wyjść na scenę, by wystąpić w jakiejś roli, najpewniej Arkadija z *Lasu*, lecz nigdzie nie może znaleźć kostiumu. Przeżaszony (we śnie), słyszy dzwonek wzywający go na scenę, ale stoi jak skamieniały, właściwie siedzi, goły i włochaty, nie mogąc się ruszyć. Naraz, jakby to wszystko działa się już na scenie, podnosi się kurtyna. Przez ostry blask bocznych reflektorów, które trzymają go w krzyżowym ogniu świateł, Czelustnikow dostrzega widzów w górze, na balkonie, i na dole, na parterze, ich głowy opromienione fioletową aureolą. Wydaje mu się, że w pierwszym rzędzie rozpoznaje członków komitetu rejonowego, a spomiędzy nich wyławia jasną łysinę towarzysza M., redaktora naczelnego gazety „Nowaja Zoria”. Towarzysz ten krztusi się ze śmiechu i woła coś szyderczego, obraźliwego, coś, co odnosi się do jego (Czelustnikowa) męskości. A dzwonek z garderoby ciągle dzwoni, coraz głośniejszy, coraz natarczywiej. Czelustnikow przypuszcza (we śnie), że jest to właściwie dzwonek alarmowy, że chyba zapaliła się kurtyna i za chwilę wybuchnie panika, wszyscy rzucą się do ucieczki. Tylko on zostanie tu, na scenie, goły jak noworodek, nieruchomy, zdany na pastwę płomieni. Jego prawa ręka nagle przewycięża sen, zrzuca z siebie czar i Czelustnikow, na granicy jawy, instynktownie sięga po rewolwer, który starym dobrym zwyczajem trzyma pod poduszką. Zapala światło na szafce nocnej i strąca przy tym kieliszek z wódką. W lot zrozumiał, że buty są teraz ważniejsze od nagana, i szybko wskakuje w nie jak w siodło.

Żona redaktora naczelnego gazety „Nowaja Zoria” przeciąga się we śnie, po czym obudzona dzwonkiem, otwiera piękne, lekko tylko podpuchnięte azjatyckie oczy. Telefon nagle milknie, oboje oddychają z ulgą. Nastasja Fiedotiewna M., zmieszana i przestraszona, usiłuje założyć stanik, który znalazł i rzucił jej Czelustnikow. Telefon znowu zaczyna dzwonić. „Wstawaj”, mówi Czelustnikow, wsuwając rewolwer za pas. Nastasja Fiedotiewna spogląda na niego z przerażeniem. Czelustnikow podchodzi do drżącej kobiety, całuje ją między obfitymi piersiami i mówi: „Podnieś słuchawkę”. Kobieta wstaje, Czelustnikow, jak prawdziwy kawaler, okrywa ją swoim skórzanym płaszczem. I zaraz potem słyszy jej głos: „Kogo? Czelustnikowa?”. (Mężczyzna kładzie palec na ustach). „Nie mam pojęcia”. (Cisza). Nastasja odkłada słuchawkę, w której słychać, jak urywa się połączenie, i opada na fotel. „Z rajkomu”. (Cisza). „Mówią, że to pilne”.

AKTÓWKA

Zanim wrócił do wyiębionego mieszkania przy Sokołowskim Prospekcie, Czelustnikow długo włączył się po zawianych śniegiem ulicach. Szedł okrężną drogą, nad Dnieprem, więc potrzebował całej godziny, by dotrzeć do domu. Zdjął swój skórzany płaszcz, nalał wódki do kieliszka i włączył radio. Nie minęło nawet -pięć minut, gdy zadzwonił telefon. Odczekał, by sygnał rozległ się trzykrotnie, a potem podniósł słuchawkę. Udał, że czuje się zaskoczony tym późnym wezwaniem (minęła już druga), po czym powiedział, że skoro sprawa jest tak pilna, przyjedzie najdalej za pół godziny. Musi się tylko ubrać, bo właśnie się rozebrał. W porządku, usłyszał, poślą po niego auto, sprawa jest bardzo pilna. Towarzysz Piasnikow wszystko wyjaśni mu osobiście.

Towarzysz Piasnikow, sekretarz rajkomu, bez ogródek przeszedł do rzeczy: jutro, koło jedenastej, przyjeżdża do Kijowa obywatel Édouard Herriot, przywódca robotników francuskich. Czelustnikow wtrącił, że czytał w gazecie o jego przyjeździe do Moskwy, ale nie wiedział, że odwiedzi także Kijów. Na to Piasnikow spytał, czy on, Czelustnikow, wie, jak ważna jest wizyta takiego człowieka. Odpowiedział, że wie (choć nie bardzo się domyślał, na czym polega znaczenie tej wizyty i jaka ma być w tym wszystkim jego rola). Piasnikow, jakby słyszał jego myśli, zaczął mu tłumaczyć: obywatel Herriot, mimo swoich wiadomych sympatii, żywi pewne typowo burżuazyjne wątpliwości co do zdobyczy rewolucji. Podał wiele szczegółów o życiu i działalności Édouarda Herriota, podkreślił drobnomieszczańskie pochodzenie francuskiego gościa, naświetlił stanowisko, jakie zajmuje on w wielu sprawach, wspomniął o jego upodobaniu do muzyki klasycznej i postępowych ruchów na świecie, wreszcie zaakcentował rolę, jaką odegrał Herriot w sprawie uznania kraju bolszewików (tak właśnie powiedział: *strany bolszewikow*) przez Francję.

Piasnikow wyjął z szuflady biurka aktówkę i zaczęła ją wertować. „O”, zauważył, „na przykład to. Cytuję: «Francuz, choć niereligijny (jak widzicie, Herriot wyzbył się przesądów religijnych... jeżeli wziąć to za dobrą monetę), choć niereligijny, po prostu nie może nie zaprotestować przeciwko prześladowaniu duchownych (tu towarzysz Piasnikow przerwał i podniósł wzrok na Czelustnikowa: „Rozumiecie?”, Czelustnikow skinął głową, a Piasnikow dodał: „Duchowni to dla nich wciąż jeszcze coś w rodzaju świętych krów, jak dla naszych muzyków... oczywiście dawniejszych”), «ponieważ to także stanowi atak na wolność myślenia. Atak zupełnie zresztą niepotrzebny...». I tak dalej, i tak dalej”, Piasnikow zamknął teczkę. „Sądzę, że wszystko jasne?”. „Tak”, odparł Czelustnikow i nalał sobie szklankę wody.

Spotkanie w gabinecie towarzysza Piasnikowa potrwało do czwartej nad ranem, a już o siódmej Czelustnikow był znowu na nogach. Do przyjazdu pociągu zostały dokładnie cztery godziny.

GODZINY I MINUTY

Ów ważny ranek w życiu A.L. Czelustnikowa przebiegał, godzina po godzinie, następująco: o siódmej budzenie przez telefon. Czelustnikow wypija na czczo kieliszek wódki, nagi do pasa myje się w zimnej wodzie. Ubiera się, poleruje buty. Na śniadanie smaży jaja na prymusie, zjada je z kiszonymi ogórkami. O siódmej dwadzieścia telefonuje do rajkomu. Towarzysz Piasnikow mówi, przełykając, i przeprasza: przez całą noc nie opuszczał kancelarii, trochę zdrzemnął się w fotelu za stołem; pyta Czelustnikowa, czy dobrze się czuje; umówił go, powiada, z Abramem Romanyczem, charakteryzatorem, w foyer teatru (wejście dla aktorów), o czwartej po południu, niech się nie spóźni. O siódmej dwadzieścia pięć Czelustnikow telefonuje do Nastasji Fiedotiewny. Po długiej chwili (na dole trąbi już samochód przysłany z rajkomu) słyszy załęczniony głos żony redaktora gazety „Nowaja Zoria”. Nastasja nie potrafi pojąć, jak mogli, nocą, szukać go u niej. Jest zrozpaczona. Jeżeli M. (czyli jej mąż) się dowie, ona się otruje. Nie zniesie tej hańby. Tak, tak, trutką na myszy. Czelustnikowowi z trudem udaje się przez potok jej szeptów, czułości i jęków przemycić słowa pociechy: niech się o nic nie martwi, wszystko to zbieg okoliczności, później jej wytłumaczy, teraz nie może, bo czeka na niego samochód. A o trutce na myszy niech zapomni...

O siódmej trzydzieści Czelustnikow wsiada do czarnej limuzyny, czekającej przed domem; za piętnaście ósma przyjeżdża do rajkomu. Towarzysz Piasnikow ma przekrwione, podpuchnięte oczy; wypijają po jednej wódce, potem umawiają się i telefonują od ósmej do dziewiątej trzydzieści, z dwóch pokoiów, żeby sobie nie przeszkadzać. O dziewiątej trzydzieści towarzysz Piasnikow, z oczami królika, naciska jeden z guzików na wielkim biurku z drzewa orzechowego, i sprzątaczką wnosi na tacy herbatę. Długo siorbią gorący napój, bez słowa, uśmiechając się do siebie jak ludzie, którzy wykonali ciężką, odpowiedzialną pracę. O dziesiątej jadą na dworzec, sprawdzają obstawę. Towarzysz Piasnikow poleca zdjąć transparent z napisem: „Religia to opium dla ludu”, i zastąpić go naprędce innym, o zabarwieniu nieco metafizycznym: „Niech żyje słońce, precz z nocą”.

Punktualnie o jedenastej, kiedy pociąg wiozący dostojnego gościa wjeżdża na peron, Czelustnikow odłącza się od komitetu powitalnego i staje z boku, między oficerami z ochrony. W cywilu, z bagażami, są jak przypadkowi, zaciekawieni podróżni, którzy spontanicznymi brawami witają przyjaciela z Francji. Szybko przyjrząwszy się Herriotowi (wydał mu się jakiś niepokaźny, chyba przez ten beret), Czelustnikow opuścił dworzec bocznym wyjściem, wsiadł do samochodu i natychmiast odjechał.

Kiedy wysiadał przed Soborem Sofijskim, była punktualnie dwunasta.

PRZESZŁOŚĆ

Sobór Sofijski to mgliste wspomnienie o sławnych dniach panowania Włodzimierza, Jarosława i Izasława. Jest on ledwie dalekim echem monasteru korsuńskiego, nazwanego tak od „świętego miasta” Chersonia czy też Korsunia. Kronika uczonego Nestora odnotowuje, że już książę Włodzimierz Wielki przywiózł z Korsunia, miasta, gdzie został ochrzczony, naczynia cerkiewne, ikony, a także „cztery konie miedziane”⁵. Lecz między tym kamieniem węgielnym, położonym przez błogosławionej pamięci Włodzimierza, a historią Soboru Sofijskiego spłynęło wiele wody, krwi i trupów w sławnym Dnieprze. Stare słowiańskie bóstwa jeszcze długo będą się opierać słynnemu kaprysowi kijowskiego księcia, który przyjął chrześcijańską wiarę w jednego Boga. Lud ruski z pogańskim okrucieństwem będzie walczył przeciwko „synom Dadźboga”, długo jeszcze będzie wypuszczał mordercze strzały i kopie z wiatrem – „dzieckiem Strzyboga”. Okrucieństwo prawowiernych nie jest co prawda mniejsze od pogańskiego, a fanatyzm wierzących w istnienie jedynego Boga wydaje się bardziej zaciekły i skuteczny.

5 „Cztery koni miedzian”. Najprawdopodobniej trzeba by to odczytywać, zgodnie z przekonaniem niektórych specjalistów, jako „cztery ikony miedziane”. W tej dwoistości leksykalnej upatrujemy przede wszystkim przykładu zderzenia i przenikania się dwu rodzajów kultu: pogańskiego i chrześcijańskiego.

Sławny Kijów, matka miast ruskich, na początku XI wieku może się szczycić liczbą około czterystu cerkwi. Według Thietmara z Merseburga, będzie on „rywalem Konstantynopola i najpiękniejszą perłą Bizancjum”. Skłaniając się do bizantyńskiego cesarstwa i wiary, Ruś, poprzez prawosławie, przyłączy się do starej, wyrafinowanej cywilizacji. Z powodu schizmy i wypowiedzenia posłuszeństwa Rzymowi zostanie jednak zdana na łaskę i niełaskę mongolskich najeźdźców, i nie będzie mogła liczyć na pomoc Europy. Schizma doprowadzi do izolacji prawosławia od Zachodu; cerkwiom, wznoszonym na kościach i pocie muzyków, daleko będzie do strzelistości wież gotyckich. Ludzi Wschodu nie obejmie kultura rycerska: „bić będą swoje żony, jakby nigdy nie istniał kult damy”.

Wszystko to mniej więcej przedstawione jest na ścianach i freskach Soboru Sofijskiego. Według źródeł historycznych, założył go Jarosław Mądry (1037) na wieczną pamiątkę zwycięstwa nad pogańskimi Pieczyngami. Ażeby matka ruskich miast, Kijów, nie miała czego zazdrościć Konstantynopolowi, polecił wznieść przepiękne Złote Wrota i cerkiew u Złotyńskich Wrót. Sława jednak nie trwała długo. Hordy mongolskie, wyroiwszy się ze stepów (1240), zrównały z ziemią słynne miasto Kijów. Sobór Sofijski zresztą już był ruiną: jego sklepienie zawaliło się w roku tysiąc dwieście czterdziestym, w tym samym czasie, co sklepienie cerkwi Dziesięcinnej, zabijając setki kijowian, którzy się tu schronili, by uniknąć masakry zgotowanej przez Mongołów. W swoim *Opisie Ukrainy*, wydanym w Rouen, w roku 1651, pan Guillaume le Vasseur z Beauplan, szlachcic normandzki w służbie króla polskiego, zamieścił słowa przypominające epitafium: „Ze wszystkich cerkwi kijowskich pozostały jedynie dwie, na pamiątkę dla przyszłych pokoleń; inne to tylko żałosne ruiny: *reliquiae reliquiarum*”.

Najsłynniejsza mozaika w Soborze Sofijskim, *Bogarodzica Błogosławiąca*, była czczona przez kijowian jako „*Nierazruszimaja Stiena*”; jest to daleka aluzja do dwunastego wersu Akatystu. Legenda tłumaczy tę nazwę inaczej: gdy cerkiew się zawaliła, runęły wszystkie ściany prócz apsydy, która pozostała nienaruszona dzięki Matce Dziewiczej wyobrażonej na mozaice.

CYRK W DOMU BOŻYM

Choćby na pierwszy rzut oka zdawało się, że jest to poza głównym nurtem naszej opowieści (przekonamy się zresztą, że to wrażenie złudne), nie możemy w tym miejscu nie wspomnieć o zadziwiających freskach, jakie zdobią ściany przy krętych schodach, prowadzących na galerię; książęta i bojarzy, ich goście, mogli tam uczestniczyć w liturgii, nie wychodząc z dworu. Freski te odsłonięto pod nowszą warstwą w roku 1843, ale z powodu pośpiechu i ciekawości, matki odkryć i grzechu, restaurację przeprowadzono bardzo niechlujnie: starej patynie, blaskowi złota i szat przydano tandetnego blasku bogactwa i przepychu bojarskiego.

Poza tym sceny pozostały nietknięte: pod błękitnym niebem Bizancjum hipodrom i cyrk, a na pierwszym planie, w łoży honorowej, imperator z małżonką, w otoczeniu świty. Za ogrodzeniem wyczekują koniuszowie, gotowi puścić na arenę stające dęba rumaki; wojownicy o twardych rysach, zbrojni w kopie, wyprzedzani przez stado psów gończych, ścigają zwierzynę; akrobaci i żonglerzy popisują się na scenie pod pogodnym niebem; muskularny atleta trzyma w ręku długą tyczkę, po której zręcznie jak małpa wspina się akrobata; gladiator z toporem zamierza się na poskramiacza z głową niedźwiedzia.

Sens ostatniej sceny naświetla dzieło Konstantyna Porfirogenety, książka o ceremoniach na dworze bizantyńskim, w rozdziale pod tytułem *Gry gockie*: „Zabawy zwane *Ludus gothicus* odbywają się, z woli Jego Cesarskiej Wysokości, co roku dnia ósmego po święcie Narodzenia i przy tej okazji osoby zaproszone przez Jego Cesarską Wysokość przebierają się za Gotów, zakładając maski i głowy różnych krwiożerczych zwierząt”.

Tyle o przeszłości.

BROWAR

Sobór Sofijski w Kijowie pod wysokimi sklepieniami kryje teraz część browaru „Spartak”, suszarnię i magazyn. Olbrzymie, dwudziestotonowe cysterny, na kozłach z kłoców, stoją wzdłuż ścian, a ciężkie żelazne kadzie porozstawiane są wszędzie między kolumnami, aż po apsydę. Dwupiętrowa suszarnia ziarna ma drewniane kraty od poziomego okien po arkady. (Stała temperatura 11° Celsjusza sprzyja rozwojowi korzystnych bakterii, które nadają piwu specyficzny aromat). Przez jedno z bocznych okien, które zostało wyjęte, przechodzą aluminiowe rury, powyginane jak u żelaznego piecyka; łączą one suszarnię ziarna z płuczarnią w dużym, niskim baraku, znajdującym się jakieś sto metrów od świątyni. Przy kratkach, rurach i cysternach stoją drabiny i rusztowania, a kwaskowata woń chmielu i słoju wnosi w stare mury zapach bezkresnych stepów po deszczu.

Freski i ołtarz (na podstawie niedawnego zarządzenia) zasłonięte są długimi płachtami juty, zwisającymi wzdłuż ścian jak szare chorągwie. W miejscu, gdzie znajdował się (dokładniej mówiąc, gdzie znajduje się także teraz, pod szarym welonem) wizerunek Przenajświętszej, „zdumionej niespodziewanym pojawieniem się Archanioła”, wisi portret Ojca Narodu w grubych pozłacanych ramach, dzieło akademika Sokołowa, zasłużonego artysty. Przez zamieć śnieżną przedziera się staruszka z gromady, by ucałować dłoń Błogosławionego, ucałować tak po chłopsku, po ludowemu. A on uśmiecha się do staruszki i kładzie jej rękę na ramieniu, po ojcowsku. Żołnierze, robotnicy i dzieci przyglądają się temu z zachwytem. Poniżej, na tej samej ścianie, gdzie poprzez jutę sączy się z dwóch okien mętne światło – wiszą gazetki ściennie i wykresy. Czeluśników, skacowany i oszołomiony zapachem chmielu, wpatruje się w wykres produkcji jak w wykres swojej gorączki na karcie szpitalnej.

POWTÓRNA RENOWACJA

Iwan Wasiliewicz Braginski, „uczestnik rewolucji, chłopski syn, bolszewik”, naczelny inżynier zakładu, zdejmując kaszkiet, drapie się po głowie, obraca papier w rękę i czyta już chyba trzeci raz, w milczeniu. Czelustnikow tymczasem bada spojrzeniem wnętrze cerkwi, zadziera głowę ku wysokiemu sklepieniu, zagląda za rusztowania, waży w myślach ciężar kadzi i cystern, coś kalkuluje, poruszając suchymi wargami. To wysokie malowane sklepienie przypomina mu małą drewnianą cerkiew w rodzinnej wsi, gdzie dawno temu chodził z rodzicami na nabożeństwa, słuchał mrużenia popów i śpiewu wiernych – wspomnienie dalekie i nierzeczywiste, które zamarło w nim, nowym człowieku, wraz z nowymi poglądami na życie. O tym, co tego dnia działo się dalej w Soborze Sofijskim, mamy świadectwo samego Czelustnikowa:

„Iwan Wasiliewicz, uczestnik rewolucji, chłopski syn, bolszewik, zmarnował nam dwie godziny cennego czasu na próżne gadanie i przekonywanie. Uważając, że wykonanie miesięcznej normy w produkcji piwa jest ważniejsze od nabożeństwa w cerkwi, zmiął zarządzenie narkomu i rzucił mi w twarz. Mimo świadomości nieubłaganego upływu czasu usiłowałem przemówić mu do rozumu i wytłumaczyć, że przystosowanie cerkwi do odprawienia liturgii leży w interesie wszystkich. Wreszcie, nie mogąc przełamać jego uporu, poszedłem z Iwanem Wasiliewiczem do biura i powierzyłem mu, w cztery oczy, tajemnicę, nie wymieniając nazwiska dostojnika. Nawet ten argument nie wystarczył, podobnie jak kilka telefonów do ludzi z kierownictwa, które wykonałem z aparatu polowego w jego biurze. Musiałem więc sięgnąć po ostateczny argument, czyli po nagan (...).

Stu dwudziestu więźniów z pobliskiego obozu okręgowego pod moim osobistym nadzorem przeprowadziło w niespełna cztery godziny renowację cerkwi. Część suszarni zdemontowaliśmy i przesunęli pod ścianę, zamaskowali płachtami juty i płótnem namiotowym, które zarzuciliśmy na rusztowania, jakby wschodnia ściana soboru rzeczywiście miała być restaurowana. Kadzie i cysterny wysunęliśmy i wytoczyli na klocach (wyłącznie siłą ludzkich rąk, bez żadnej techniki) za barak na dziedzińcu (...). Piętnaście minut przed czwartą wsiadłem do auta i punktualnie o wyznaczonym czasie byłem w foyer teatru, gdzie czekał już Abram Romanycz”.

BRODA I KAMIŁAWKA

Przytaczamy dalej świadectwo Czelustnikowa:

„Towarzysz Piasnikow wszystko mu (Abramowi Romanyczowi) wytłumaczył, a nawet, jak mi później powiedział, podsunął do podpisu oświadczenie, w którym charakteryzator zobowiązał się milczeć i dochować tajemnicy państwowej. To najwyraźniej podziało: Abramowi Romanyczowi ręce się trzęsły, kiedy zakładał mi brodę. Sutannę z fioletowym pasem i kamiławkę pożyczaliśmy za pokwitowaniem z garderoby teatralnej. W podaniu do dyrekcji napisaliśmy, że te rzeczy są nam potrzebne dla członków brygady agitacyjnej, która przygotowuje spektakl o antyreligijnej treści do wystawiania w fabrykach i na wsiach.

Abram Romanycz o nic już nie pytał. Przejął się robotą i ręce przestały mu się trząść. Był to w ogóle człowiek oddany swojej pracy. Nie tylko zrobił ze mnie najprawdziwszego parocha, lecz nawet, z własnej inicjatywy, przyprawił mi sztuczny brzuch. «Widzieliście kiedyś, obywatelu Czelustnikow, chudego parocha?», spytał, a ja się z nim zgodziłem. Bez względu na to, co stało się z nim później (o tym nie zamierzam tu mówić), twierdzę, że Abram Romanycz przysłużył się sprawie niemal tak samo jak ja. Udzielił mi kilku cennych rad, które prócz mojego doświadczenia scenicznego z przeszłości miały olbrzymie znaczenie. «Obywatelu Czelustnikow», powiedział, całkiem zapominając o strachu, «zapamiętajcie przede wszystkim, że brodę, zwłaszcza taką brodę, nosi się nie głową, ale piersiami. Dlatego musicie teraz, choć zostało niewiele czasu, zgrać ruchy głowy i ciała». Dał mi także kilka bardzo przydatnych rad odnośnie do samej służby Bożej i śpiewu – wiedzę tę niewątpliwie przyswoił sobie w teatrze. (A może w synagodze, diabli go wiedzą). «Jeśli zabraknie wam słów, obywatelu Czelustnikow, mamroczcie basem. Mamroczcie, ile wlezie, jakbyście się gniewali na wiernych. I wywracajcie oczami, jakbyście zaklinali Boga, któremu służycie, przynajmniej na razie. A co się tyczy śpiewu»... «Teraz nie mamy na to czasu», przerwałem. «Śpiewać będziemy później, Abramie Romanyczu»”.

BUTY MALINOWE

Czelustnikow zatrzymał się w charakteryzatorni nieco dłużej niż godzinę – dość krótko, jeżeli wziąć pod uwagę transformację, jaką przeszedł. Aleksiej Timofiejewicz Kaszałow, nazywany po prostu Aloszą, szofer rajkomu, ten sam, który przywiózł Czelustnikowa do teatru, przed wejściem do samochodu pocałował go w rękę. „Był to rodzaj próby generalnej”, notuje Czelustnikow, „dzięki niej do reszty wyzbyłem się tremy, która opanowała mnie w momencie, gdy zostałem sam, bez czujnego oka i rad Abrama Romanycza. W pierwszej chwili pomyślałem, że Alosza się zgrywa, ale wkrótce przekonałem się, że łatwowierność ludzka nie ma granic; gdybym wyszedł w koronie carskiej, ten człowiek na pewno padłby plackiem w śnieg i błoto. Wykorzenie z ruskiej duszy chłopskiej śladów mrocznej przeszłości i wiekowego zacofania”, dodaje Czelustnikow, nie bez goryczy i wyższości, „będzie wymagało jeszcze wiele czasu i trudu”.

(Powiedzmy od razu: Aleksiej Timofiejewicz podczas długiego śledztwa, mimo najcięższych tortur, ani razu nie przyznał, że tego dnia został wystrychnięty na dudka. Niespełna miesiąc po tym zdarzeniu, podczas konfrontacji z Czelustnikowem w kancelarii śledczego, powtarzał uparcie, że w gruncie rzeczy chciał tylko zażartować z obywatela Czelustnikowa. Mimo wycieńczenia i połamanych żeber dość przekonująco bronił swego stanowiska: jak mógłby wierzyć, że do samochodu wsiada paroch, skoro przywiózł do teatru obywatela Czelustnikowa? Na pytanie: Czy tamtego dnia – 21 listopada 1934 roku – zagadnął domniemaną osobę duchowną, czyli towarzysza Czelustnikowa: „A co z obywatelem Czelustnikowem, będziemy na niego czekać?”, Alosza odpowiedział przecząco. Na pytanie: Czy to prawda, że do rzekomej osoby duchownej, czyli do towarzysza Czelustnikowa, odezwał się tak: „Wkrótce w Kijowie łatwiej będzie spotkać renifera niż popa”, też dał przeczącą odpowiedź. Na pytanie: Czy rzekoma osoba duchowna, czyli towarzysz Czelustnikow, rzekła na to zmienionym głosem: „A na cóż wam, synku, popi?”, i czy on, Aleksiej Timofiejewicz Kaszałow, odparł: „*Za duszu pomolit'sia griesznuju*”, oskarżony również odpowiedział przecząco).

O piątej trzydzieści czarna limuzyna zatrzymała się przed nieoświetloną bramą cerkwi. Paroch-Czelustnikow uniósł połę sutanny i przez chwilę błysnęły wyglansowane buty malinowe. „Rozumiesz teraz, *durak*”, spytał Czelustnikow Aloszę, który gapił się osłupiały to na jego brodę, to na buty, „rozumiesz teraz?”

KADZIELNICA

„Nabożeństwo zaczęło się tuż przed siódmą”, notuje Czelustnikow, który podaje także szczegółowy opis ceremonii. (Potrzeba twórcy, by żywemu dokumentowi przydać, może niepotrzebnie, barwy, dźwięki i zapachy, tę dekadencją trójcę świętą współczesnych, nie pozwala mi jednak nie wyobrazić sobie tego, czego nie ma w tekście Czelustnikowa: migotania i skwierczenia świec w srebrnych lichtarzach, przyniesionych ze skarbca kijowskiego muzeum – i tu dokument wplata się ponownie w wymyśloną przez nas scenę odbłasku płomieni na widmowych twarzach świętych w półkolistej przestrzeni apsydy, na fałdach długiego chitonu Matki Dziewiczej z mozaiki i na fioletowym płaszczu, na którym widać wyraźnie trzy białe krzyże; lśnienia sadzy i pozłoty na aureolach i ramach ikon, na naczyniach cerkiewnych, na kielichu, koronie i kadzielnicy rozkołysanej w półmroku, z pobrzękiwaniem łańcuszków, gdy zapach kadzidła, dusza drzew iglastych, miesza się z kwaskowatą wonią chmielu i słodu).

„Kiedy do wnętrza wpadł towarzysz Ryłski”, ciągnie Czelustnikow, „i zaczął żegnać się znakiem krzyża, wziąłem kadzielnicę i zamachałem nią nad głowami naszych ludzi. Udawałem, że nie dostrzegam nadejścia nowych wiernych, choć przez dym kadzidła wyraźnie dostrzegłem w półmroku łysinę towarzysza M. i szczeciniaste włosy obywatela Herriota. Cicho, na palcach, przeszli na środek cerkwi i tu się zatrzymali. Trema, którą przez moment znowu poczułem na ich widok, szybko ustąpiła. Nadal wymachując kadzielnicą, ruszyłem ku nim, mrużąc pod nosem.

Obywatel Herriot dłonie miał splecione, ale nie jak do modlitwy: trzymał jedną w drugiej, nieco poniżej bioder, mocno ściskając swój baskijski beret. Okadziłem ich, przeszedłem jeszcze kilka kroków i obejrzałem się: obywatel Herriot spoglądał na sklepienie, potem nachylił się do swego tłumacza, a ten do towarzysza Piasnikowa. Machnąłem kadzielnicą ku Nastasji Fiedotiewnie, która uklękała i skłoniła głowę w czarnej chustce zawiązanej pod brodę. Nie obracając się, rzuciła mi szybkie, krzepiące spojrzenie, które rozproszyło ostatnie ślady tremy. (Na jej twarzy nie było już cienia porannego lęku). Obok Nastasji Fiedotiewny, z rękoma skrzyżowanymi do modlitwy, klęczały, też w czarnych chustkach, Żelma Czawczawadze, stara działaczka partyjna, żona towarzysza Piasnikowa, oraz jej osiemnastoletnia córka Hawa, komsomołka. Oprócz jednej staruszki, której twarzy nie znałem i jej obecności nie umiałem sobie wytłumaczyć, wszystkie inne twarze były mi mniej więcej znane: prócz towarzyszki Ali, która podawała nam rano herbatę w kancelarii towarzysza Piasnikowa, znalazły się tu koleżanki z naszej redakcji i sekretarki z rajkomu, a kobiety, które znałem słabo, to na pewno żony towarzyszy z czeki⁶.

⁶ Czelistnikow stale używa tego słowa.

Muszę przyznać, że wszyscy bez wyjątku grali swoje role w sposób zdyscyplinowany i z oddaniem. Obok wyżej wspomnianych wymieniam nazwiska pozostałych towarzyszy, ponieważ ich udział, jak już powiedziałem, uważam za nie mniej ważny od mojego własnego. [Następuje czterdzieści nazwisk, przy niektórych dopisek «z żoną»]. Łącznie z dwunastoma członkami brygady kulturalnej i dwoma ich opiekunami będzie w sumie może sześćdziesięcioro wiernych”. Wyliczywszy nazwiska, Czelustnikow kończy: „Obywatel Herriot z towarzyszącymi mu osobami zatrzymał się w cerkwi raptem pięć minut, lecz mnie się wydawało, że był to cały kwadrans”.

OBJAŚNIENIE CYRKU

Służba Boża trwała jeszcze, w swym skamieniałym rytuale niby z jakiegoś fresku – gdzie wierni pochłonięci modlitwą to spuszczały oczy ku ziemi, która jest matką piekła, to podnoszą je ku niebu, łożnicy raj – kiedy Herriot z towarzyszącymi mu osobami wyszedł powoli, na palcach, aby obejrzeć słynne freski przy krętych schodach. Historyk sztuki, Lidia Krupienik, zaangażowana na tę okoliczność, nienaganną francuszczyzną (której towarzysz Herriot pogratulował jej szczerze) wyjaśniała obecność scen o tematyce świeckiej w domu Bożym – zagadkę, która nie mogła ująć uwagi zaciekawionego gościa.

„Choć kręte schody znajdują się, jak widać, w pewnym oddaleniu od samej świątyni, są jednak jej integralną częścią, i wobec tego wydaje się, że obecność cyrkowych scen w przybytku Bożym mogła dziwić i gorszyć osoby duchowne. *Mais ce sont là des scrupules tout modernes*”, mówiła Lidia Krupienik, *„aussi étrangers aux Byzantins du onzième siècle qu’aux imagiers et aux huchiers de vos cathédrales gothiques*. Podobnie jak nieprzyzwoite, a często gorszące sceny, przedstawiane na rzygaczach i stallach, nie przynosiły uszczerbku pobożności waszych przodków, tak wprowadzanie do cerkwi malarstwa o tematyce świeckiej nie miało w sobie dla naszych pobożnych przodków niczego gorszącego. Jest sprawą znaną”, ciągnie Lidia Krupienik, a towarzysz Herriot tymczasem kiwa głową i wpatruje się we freski, szczególnie zainteresowany przedstawionymi na nich instrumentami muzycznymi, „jest sprawą znaną, że w Konstantynopolu pod rządami władców-ikonoklastów postacie Chrystusa i świętych zastępowano swojego rodzaju scenami satanistycznymi, wyobrażającymi wyścigi konne lub krwawe łowy na dzikie zwierzęta i ludzi”. (Towarzysz Herriot kiwa głową i zwija w rękach beret, jak uczeń). „Nie należy zapominać”, mówi Lidia Krupienik swoim wdzięcznym głosem, jakby maskując pewną złość, „o innych pomnikach kultury na Zachodzie, jak choćby sklepienie kaplicy pałatyńskiej w Palermo, gdzie występują podobne, a nawet identyczne świeckie motywy: zmagania atletów oraz niewolnicy przygrywający na fletach i piszczałkach. Trzeba wreszcie zaznaczyć, że Święta Sofia kijowska była, *tout comme les chapelles de vos rois normands*, cerkwią pałatyńską, a kręte schody prowadziły do apartamentów książęcych. Wobec tego tematy świeckie były tu całkiem na miejscu, *n’est-ce pas?* Towarzysz Herriot, któremu marzną nogi⁷, przygląda się freskom bez słowa, zatopiony w

⁷ Jest rzeczą wiadomą, że Herriot wrócił z tej podróży chory potem z trudem dochodził do zdrowia. Przy okazji pewien złośliwiec napisał w „Charivari”, że Herriot rozchorował się

myślach.

najprawdopodobniej „zwiedzając zimne cerkwie i przegrzane pałace”. Aluzja ta wywołała w owym czasie liczne zgryźliwe komentarze.

MECHANICZNE LWY

Nazajutrz, jeszcze pod świeżym wrażeniem, w ciepłym przedziale wagonu sypialnego na linii Kijów-Ryga-Königsberg (Królewiec), Édouard Herriot, z wysoką gorączką, owinięty w koce, zapisuje w notatniku pierwsze spostrzeżenia. Jedno (jeden z faktów związanych z naszą opowieścią) mąci harmonię jego wrażeń: obecność żebraków przed Soborem Sofijskim. Herriot tak formułuje swoje zdziwienie: „Ci żebracy przed cerkwią, przeważnie starzy i kalecy, a czasem bardzo młodzi i na oko zdrowi, którzy stłoczyli się wokół nas po wyjściu z przepięknej Świętej Sofii, to bez wątpienia owo żywotne plemię ruskich *bosiaków* i *jurodiwych* (*iourodivy*), stanowiące niezwykłą faunę starej Rosji”. (Tu następują uwagi o zadaniach, jakie stoją przed nowym, młodym państwem).

Wzmianka o tych samych żebrakach (tylko dlatego ją odnotowujemy) znalazła się także u Czelustnikowa: „Przy wyjściu z cerkwi aresztowaliśmy całą grupę pasożytów, którzy zlecieli się jakimś cudem, chyba znęceni zapachem kadzidła”.

Herriot przekartkował swój notatnik (z którego wyłaniały się twarze, krajobrazy i rozmowy, cały świat tak podobny i tak różny od tamtego sprzed dwunastu lat, gdy pierwszy raz przyjechał do Rosji) i próbował zebrać wrażenia, sprowadzić je do tego, co najważniejsze. Z właściwym sobie pragmatyzmem postanowił ująć nowe spostrzeżenia (na razie) najprościej i najskuteczniej: powtórzy treść dedykacji ze swej książki sprzed dwunastu lat, zrobi to na znak trwałości swoich przekonań, i w ten sposób zamknie usta zawistnikom. Powtórzy ją *in extenso*, tak jak napisał wówczas, w listopadzie 1922 roku, i będzie to słowo wstępne – dedykacja dla tej samej osoby: Elie-Josepha Bois, naczelnego redaktora „Parisien Libéré”.

Chcąc się upewnić co do tej decyzji, wyjął z neseseru egzemplarz książki oprawnej w skórę, jedyny, jaki pozostał mu z dwudziestu egzemplarzy autorskich (*Il a été tiré de cet ouvrage 20 exemplaires sur Alfa réservés à Monsieur Édouard Herriot*) i przebiegł wzrokiem dedykację (podajemy ją tu w przekładzie, przez co niewątpliwie straci wiele ze swej autentyczności i oryginalnego stylu): „Drogi przyjacielu, kiedy wyjeżdżałem do Rosji, nasi najzawziętsi awanturnicy nie tylko obsypali mnie obelgami, ale przepowiadali najgorsze nieszczęścia. Najzyczliwsi uważali mnie za kogoś w rodzaju ubogiego fratra, który we wczesnym średniowieczu wyrusza z Lyonu chrzcić Tatarów i Mongołów. Było to w czasach, kiedy książęta moskiewscy, chcąc wzbudzić strach w tych, co odwiedzali Ruś, ukrywali pod tronami mechaniczne lwy, których zadaniem było zaryczeć we właściwym miejscu i czasie, w trakcie rozmowy. A pan, drogi przyjacielu, zechciał zrozumieć moje zamiary i uwierzyć w moją bezstronność. Wracam z podróży, która upłynęła śmiesznie łatwo. Wszędzie przyjmowano mnie życzliwie. Nie poszczuto mechanicznych lwów, by na mnie zaryczały. Mogłem wszystko oglądać spokojnie i swobodnie. Redagując swoje notatki, nie dbałem o to, czy się komuś spodobają, czy nie. Dedykuję je Panu w dowód szacunku, i tak je proszę przyjąć. Pański Édouard Herriot”.

Zadowolony ze swej decyzji, odłożył książkę i znowu zapatrzył się w to, co nazywał „melancholią rosyjskiego pejzażu”.

(Następstwa drugiej podróży Édouarda Herriota do Rosji są faktem historycznym i jako takie nie interesują nas w tej opowieści).

POST FESTUM

A.L. Czelustnikow został aresztowany w Moskwie, we wrześniu 1938 roku, cztery lata po zabójstwie Kirowa (i w związku z tą sprawą), niespełna cztery lata po incydencie z Herriotem. Gdy siedział w kinie, podeszła bileterka i szepnęła mu na ucho, że jest pilnie poszukiwany. Czelustnikow wstał, zaciągnął pas z rewolwerem i wyszedł na korytarz. „Towarzyszu Czelustnikow”, powiedział nieznajomy, „jesteście pilnie potrzebni w rajkowie. Samochód czeka”.

Czelustnikow zaklął w duchu. Pomyślał, że pewnie znowu się szykuje jakaś komedia, podobna do tamtej sprzed czterech lat, za którą dostał awans i order. Wsiadł do samochodu, niczego nie przeczuwając. Po drodze zabrano mu rewolwer, założono kajdanki i zamiast w rajkowie wylądował na Łubiance. Przez trzy miesiące bito go tam i torturowano, mimo to nie chciał podpisać protokołu i przyznać się do działania na szkodę władz sowieckich, do uczestnictwa w spisku przeciw Kirowowi i do tego, że w Hiszpanii przystał do trockistów. Zamknięto go w izolatce jeszcze na dziesięć dni, by się zastanowił: albo podpisze to zeznanie, albo jego żona będzie aresztowana, a roczna córeczka zabrana do domu *bezprizornych*. Czelustnikow załamał się w końcu i podpisał protokół. Przyznał się do wszystkiego, co zarzucał mu akt oskarżenia, między innymi do tego, że był członkiem grupy spiskowej, na której czele stał Abram Romanycz Szram.

Dostał dziesięć lat. W łagrze spotkał starego znajomego, enkawudzistę, razem z którym walczył kiedyś w Hiszpanii. Został ligawym, donosicielem. Zrehabilitowano go w roku 1958. Jest żonaty, ma troje dzieci. W 1963 roku był z grupą turystów w Bordeaux, Lyonie i Paryżu. W Lyonie zwiedził bibliotekę-muzeum słynnego mera i wpisał się do książki pamiątkowej: „Podziwiamy dzieło Édouarda Herriota”. Podpis: „A.L. Czelustnikow”.

MAGICZNE KRAŻENIE KART

Karlowi Štajnerowi

Doktor Taube, Karl Georgiewicz Taube, został zamordowany 5 grudnia 1956 roku, niespełna dwa tygodnie po oficjalnej rehabilitacji, trzy lata po powrocie z Norylska. (Nie licząc aresztu śledczego, spędził w łagrach siedemnaście lat). Tło morderstwa pozostało niewyjaśnione aż do czerwca 1960 roku, kiedy to w Moskwie aresztowano niejakiego Kostika Korszunidze, zwanego Artystą i Orłem, specjalistę kasiarza, „łomiarza” numer jeden, uznawanego za króla włamywaczy. Kapitan Morozow, który go przesłuchiwał, nie mógł się nadziwić temu, co się z nim działo: Kostik dygotał! Ten sam Kostik, który podczas wcześniejszych przesłuchań mówił o sobie i swojej robocie z dumą i godnością, jak przystoi *pachanowi*. W wyjątkowych sytuacjach potrafił przyznać się nawet do tego, o co nie pytano, na przykład do kradzieży sprzed kilku lat (włamanie na pocście w Kazaniu). Zeznanie takie można było z niego wydobyć tym bardziej, że on, człowiek nocy i mistrz, miał pewną słabość, która choć ludzka, pozostawała na pozór w niezgodzie z jego życiem: Korszunidze nie cierpiał bicia. Już sama groźba, podniesiony głos śledczego, zamachnięcie się ręką zamieniały Kostika-Artystę, Kostika-Orła w szmatę. A ze szmaty nie da się wycisnąć zeznania.

Kapitan Morozow spotkał się z nim w swojej karierze już dwukrotnie (raz w łagrze, jako z ligawym, a raz wkrótce potem, jako z włamywaczem), wiedział zatem, jak nie należy rozmawiać z Korszunidzem (naturalnie z wyjątkiem sytuacji, gdy jest to absolutnie konieczne). Uzyskawszy obietnicę, że nie będą go bić i krzyczyć (co uwłacza jego godności i naraża na szwank komórki mózgowe), Kostik rozwodził się o swoich wyczynach i ujawniał tajniki rzemiosła. Był urodzonym aktorem, aktorem natchnionym. W swoim burzliwym życiu należał przez pewien czas do amatorskiej trupy teatralnej, a to przydało jego prostackiemu językowi pewnego wyrafinowania. (Jeden z jego przydomków, Dantes, świadczy o tym przeobrażeniu; sam Korszunidze rozkładał go na Dante i d'Anthès. Własną ręką palnął sobie w poetycki łeb i po tym słynnym strzale zrodził się nie mniej sławny Łomiarz). Swoją sztukę aktorską pogłębiał następnie w łagrach, gdzie był członkiem kultbrygady, reżyserem, aktorem, jak również ligawym. À propos: pobyty w łagrach uważał Kostik za część swojej pracy, tak jak dawni rewolucjoniści uznawali je za „uniwersytety”. Jego filozofia nie kłóciła się zatem ze sposobem życia. „Między dwiema wielkimi rolami”, mawiał, „istnieje logiczna pustka, którą należy wypełnić jak najlepiej”.

Trzeba przyznać, że w czasach największych tryumfów Kostika Korszunidzego, od lat trzydziestych do pięćdziesiątych, pobyt w łagrach był dla niego, jak dla wielu innych bandziorów wszelkiej maści, po prostu przedłużeniem „wolności”. Milionowe rzesze politycznych, czyli socjalnie niebezpiecznych, musiały znosić wszelkie ekscesy i zboczenia kryminalistów, czyli socjalnie bliskich. W obozach spełniały się najśmielsze, najfantastyczniejsze marzenia bandytów: dawni panowie, właściciele dacz, wokół których kręcili się złodziejaskowie i włamywacze, teraz stawali się sługami, „adiutantami” i niewolnikami dawnych wygnańców z raj, a przedstawicielki sprawiedliwości, panie ministrowe i sędziny – nałożnicami i służącymi tych, których kiedyś sądziły, prawły im kazania o sprawiedliwości społecznej i świadomości klasowej, powołując się na Gorkiego, Makarenkę oraz innych klasyków.

Był to, jednym słowem, złoty wiek dla przestępców, zwłaszcza tych, których imię w nowej hierarchii, jak w wypadku Kostika Korszunidzego, otaczała sława pachana. Król podziemia dopiero w podziemiu jest prawdziwym królem: pracują dla niego nie tylko byli panowie, lecz całe legie notorycznych przestępców podporządkowują się jego woli. Wystarczy, że Korszunidze wyrazi życzenie, słowem czy choćby mrugnięciem, by buty koloru malinowego, własność byłego czekisty Czelustnikowa, zabłyśły na nogach nowego właściciela (Kostika) albo by dzięki uprzejmości i łasce kucharza, byłego stręczyciela i mordercy, została podkarmiona małżonka (byłego) sekretarza rajkomu, bladolica Nastasja Fiedotiewna M., i doprowadzona do Kostika. Artysta lubi bowiem damy „białolice i pulchne, w typie naszych rosyjskich kobiet”.

Ponieważ po swoich długich zeznaniach Kostik nadal trząsł się (choć śledczy nawet nie podniósł głosu, a chcąc go udobruchać i jednocześnie wykpić, zwracał się do niego „obywatelu Korszunidze”), kapitan Morozow, raczej w jakimś dziwnym natchnieniu niż wskutek donosu jednego ze swoich zauszników, polecił specjalistom, by porównali odciski palców Kostika z odciskami znalezionymi na łomie – narzędziu złodziei, którym przed czterema laty, w Tiumeniu, został zamordowany niejaki Karl Georgiewicz Taube. Wynik okazał się pozytywny. W ten sposób uchylono rąbka tajemnicy pozornie bezsensownego morderstwa.

ZE STAREGO ALBUMU

Karl Georgiewicz Taube urodził się w 1899 roku w Ostrzyhomiu na Węgrzech. Jakkolwiek skąpe byłyby dane o jego najwcześniejszych latach, z mroku czasów wyraźnie wyłania się prowincjonalna szarzyzna środkowoeuropejskich miasteczek z początku XX wieku: szare parterowe domki z podwórkami, które słońce w swej powolnej wędrówce dzieli wyraźną linią demarkacyjną na kwadraty oślepiającego światła i wilgotnego, stęchłego cienia; szpalery akacji tchnące na wiosnę mdłym zapachem dziecięcych chorób, jak gęste syropy i cukierki na kaszel; chłodny, barokowy połysk apteki, na którego tle lśni gotyk białych porcelanowych naczyń; ponure *gimnazium*, z podwórzem wybrukowanym płytami (obdrapane zielone ławki, pozrywane huštawki, podobne do szubienic, i wybielone drewniane klozety); siedziba gminy pomalowana na żółcmariiteresy, kolor uwiędłych liści i jesiennych róż z romansów, które o zmierzchu gra orkiestra cygańska w ogrodzie Grand Hotelu.

Karl Taube, syn aptekarza, jak tyle dzieci z prowincji, marzył o szczęśliwym dniu, kiedy przez grube szkła okularów ostatni raz spojrzy na swoje miasto z pożegnalnego lotu ptaka, jak patrzy się przez lupę na bezsensownie zasuszone żółte motyle w albumie z czasów gimnazjalnych: ze smutkiem i z odrazą.

Jesienią 1920 roku, na Dworcu Wschodnim w Peszcie, wsiadł do pierwszej klasy pociągu pośpiesznego Budapeszt-Wiedeń. Gdy pociąg ruszył, młody Karl Taube jeszcze raz pomachał ojcu (który niby ciemna plama znikał w dali, z białą jedwabną chusteczką w ręku), po czym żwawo przeniósł swoją skórzaną torbę do trzeciej klasy i usiadł między dniówkarzami.

CREDO

Dwie istotne przyczyny utrudniają bliższe poznanie tego burzliwego okresu w życiu Karla Taubego: nielegalna działalność i liczne pseudonimy, pod jakimi wówczas występował. Wiadomo nam, że bywał w kawiarniach chętnie odwiedzanych przez emigrantów, że współpracował z Nowskim, że miał kontakty nie tylko z emigracją węgierską, lecz także, nawet jeszcze liczniejsze, z niemiecką i rosyjską, i że pod nazwiskiem Karoly Beatus albo Kiriłł Baje zamieszczał artykuły w pismach lewicowych. Niepełny i całkowicie niepewny spis jego prac z tego okresu obejmuje około stu trzydziestu rozpraw i artykułów. Tu wymieniamy zaledwie kilka, które można było rozpoznać po pewnej szczególnej zapalczowości (a jest to tylko inna nazwa nienawiści klasowej): *Kapitał religijny; Czerwone słońce, czyli o niektórych pryncypiach; Dziedzictwo Beli Kuna; Białe i krwawy terror, Credo.*

Jego biograf i znajomy z tamtych emigranckich lat, dr Tamás Ungváry, tak opisuje spotkanie z Taubem: „Kiedy w 1921 roku poznałem towarzysza Bajca w wiedeńskiej redakcji czasopisma «Ma», którego redaktorem był wtedy bojaźliwy Lajos Kassak, zaskoczyły mnie jego, to jest Bajca, skromność i opanowanie. Wiedząc, że mam przed sobą autora *Krwawego terroru*, *Credo* i innych tekstów, nijak nie mogłem dopasować zapalczywości jego stylu do tego spokojnego, milczącego człowieka w okularach krótkowidza, który wydawał się jakby wstydlivy i zakłopotany. I dziwne”, ciągnie Ungváry, „częściej słyszałem go mówiącego o problemach medycyny niż polityki. Kiedyś, w laboratorium kliniki, w której pracował, pokazał mi równo poustawiane słoje z fetusami w różnych fazach rozwoju; każdy słoć miał nalepkę z nazwiskiem któregoś z zamordowanych rewolucjonistów. Przy tej okazji wspomniał, że pokazał swoje fetusy również Nowskiemu, któremu, proszę sobie wyobrazić, zrobiło się słabo. Ten spokojny młodzieniec, który w wieku dwudziestu dwóch lat sprawiał wrażenie dojrzałego człowieka, wkrótce starł się nie tylko z policją, od początku śledzącą go dyskretnie, lecz także ze swoimi współbojownikami; uważał, że nasze akcje są nie dość skuteczne, a nasze artykuły nijakie.

Po czterech latach spędzonych w Wiedniu, rozczarowany powolnością procesu rewolucyjnych przemian, wyjechał do Berlina, który wydawał mu się «rdzeniem i sercem akcji wszystkich najlepszych emigrantów z europejskich kazamat». Od tej chwili aż do roku 1934 zaginął po nim wszelki śluch. W niektórych artykułach pisanych pod pseudonimem rozpoznawałem, jak mi się zdawało, i myślę, że się nie myliłem, zdania Taubego, w których «jakby założono detonator (tak to kiedyś określił Lukács). Wiem, że aż do swego aresztowania współpracował z Ernstem Thalmannem. A później, wiosną 1935 roku, czytaliśmy przemówienie, które wygłosił na międzynarodowym forum w Genewie; ujawnił w nim cały koszmar Dachau i kolejny raz ostrzegł świat przed niebezpieczeństwem: «Widmo krąży po Europie, widmo faszyzmu». Słabeusze, którzy zachwycali się siłą nowych Niemiec, ogorzałych niemieckich chłopców i krzepkich amazonek, defilujących przy dźwiękach butnych germańskich marszów, zadrżeli na moment, słuchając proroczych słów Taubego. Ale tylko na moment: kiedy sprowokowany przez znanego francuskiego dziennikarza, zdjął marynarkę, z zażenowaniem, lecz zdecydowanie podwinął koszulę na plecach i pokazał nie zagojone jeszcze rany. A gdy oficjalna nazistowska propaganda nazwała jego wystąpienie «komunistyczną prowokacją», wyzyli się wątpliwości: dla dobra europejskiego ducha potrzebni są nowi, silni ludzie, zahartowani we krwi i ogniu. Ten sam francuski dziennikarz, który w pewnym momencie osłupiał na widok żywych ran, pisząc nowy artykuł, odrzucił wszelkie wątpliwości i wszelką oczywistość, brzydził się własną słabością i anemicznością rasy romańskiej, «ślimaczącej się na samo wspomnienie krwi»”.

DŁUGIE SPACERY

Pewnego deszczowego jesiennego dnia 1935 roku, przekroczywszy granicę litewsko-sowiecką, doktor Karl Taube stał się ponownie Kiriłem Bajcem, być może pragnąc raz na zawsze zatrzeć ślady cierpień moralnych i fizycznych, którymi był naznaczony. Do Moskwy, według Ungváryego, przybył 15 września, natomiast inne źródło podaje nieco późniejszą datę, 5 października. Przez dwa miesiące Taube vel Baje chodził po ulicach Moskwy jak zaczarowany, nie zważając na strugi lodowatego deszczu i na zadymki, od których grube szkła jego okularów zachodziły mgłą. Wieczorami można było zobaczyć, jak pod rękę z żoną krąży pod murami Kremla, zachwycony blaskiem dużych czerwonych liter, rozświetlających moskiewską noc rewolucyjnymi hasłami. „Chciał ujrzeć wszystko na własne oczy i wszystkiego dotknąć nie tylko z powodu swojej krótkowzroczności, lecz także po to, by się przekonać, że to nie sen”, pisze K.Sz. W hotelu „Luks”, gdzie mieszkała cała elita europejskiego Kominternu, spędzał mało czasu, a z dawnymi towarzyszami z Wiednia i Berlina spotykał się bez większego entuzjazmu.

W ciągu dwóch miesięcy błądzenia po ulicach poznał Moskwę lepiej niż jakiegokolwiek inne miasto w swoim życiu. Znał wszystkie aleje, wszystkie skwery, parki, budynki publiczne i pomniki, linie trolejbusowe i tramwajowe; znał wszystkie szyldy nad sklepami i wszystkie hasła. „Uczył się rosyjskiego”, pisze jeden z jego biografów, „z transparentów i haseł, a więc poznawał język czynu, jakim sam posługiwał się najczęściej”.

Pewnego dnia uświadomił sobie, nie bez zdziwienia, że oprócz zapiętych na ostatni guzik pracowników Kominternu nie poznał, żeby się tak wyrazić, ani jednego rosyjskiego człowieka. To nagłe odkrycie nim wstrząsnęło. Wrócił z miasta przemarznięty, z wysoką gorączką.

Według już wspomnianego K.Sz., który przebywał razem z Taubem dobrych kilka miesięcy w Norylsku, tego dnia w trolejbusie, na bulwarze Twerskim, usiadł obok niego jakiś człowiek i Taube chciał z nim porozmawiać. Zrozumiawszy, że ma do czynienia z cudzoziemcem, ów człowiek nagle wstał, mruknął coś na usprawiedliwienie i przesiadł się na inne miejsce. Sposób, w jaki to zrobił, podzielał na Taubego jak porażenie prądem i niespodziewane, ważne odkrycie. Wysiadł na najbliższym przystanku i włączył się po mieście aż do świtu.

Przez cały tydzień nie wychodził z pokoju na trzecim piętrze hotelu „Luks”, gdzie żona kurowała go herbatą i syropem na kaszel. Po tej chorobie opadł z sił i jeszcze bardziej się postarzał. Wkrótce jednak zastukał do drzwi towarzysza Czernomordikowa, któremu podlegały sprawy personalne. „Towarzyszu Czernomordikow”, powiedział drżącym, ochrypłym głosem, ja swojego pobytu w Moskwie nie traktuję jak sanatorium. Chcę pracować”. „Jeszcze trochę cierpliwości”, odparł zagadkowo Czernomordikow.

ANTRAKT

Za najmniej znany okres w życiu doktora Taubego można uważać, choćby się to wydawało dziwne, czas od jego przyjazdu do Moskwy do aresztowania w rok później. Według niektórych świadectw przez kilka miesięcy był zatrudniony w międzynarodowej radzie związków zawodowych, po czym, na interwencję Beli Kuna (który sam już popadł w niełaskę), pracował jako dziennikarz, jako tłumacz i wreszcie jako lektor w sekcji węgierskiej Kominternu. Wiadomo również, że w sierpniu 1936 roku przebywał na Kaukazie, towarzysząc chorej żonie. Ungváry podaje, że była to gruźlica, K.Sz. natomiast twierdzi, że żona Taubego leczyła się „na nerwy”. Jeżeli przyjąć tę informację (a wiele okoliczności skłania do uznania jej za wiarygodną), to świadczy ona o nieznanym nam, ukrytych cierpieniach, jakie przeżywali w tym okresie Taube i jego małżonka. Czy chodzi o rozczarowanie, czy o przecucie nadciągającej katastrofy, trudno powiedzieć.

„Jestem przekonany”, pisze K.Sz., „że dla Bajca to, co działo się z nim osobiście, nie mogło mieć szerszego znaczenia. Uważał, podobnie jak my wszyscy, że w grę wchodzi jedynie drobne nieporozumienie, które dotyczy tylko jego i nie ma związku z głównym, istotnym nurtem historii, dlatego też nie należy zwracać sobie tym głowy”.

Pewien incydent, pozornie błahy, zwraca jednak uwagę: pod koniec października jakiś zdyszany chłopak w kaszkiecie nasuniętym głęboko na oczy wypadł zza rogu na bulwarze Twerskim i tak niefortunnie zderzył się z Taubem (wracającym z drukarni), że strącił mu okulary. Zakłopotany, przeprosił, po czym w tym zmieszaniu, w pośpiechu, nadepnął na szkła, zgniół je i natychmiast zniknął.

Doktor Karl Taube alias Kiriłł Baje został aresztowany w czternaście dni po tym zajściu, 12 listopada 1936 roku, o drugiej trzydzieści pięć po północy.

TĘPA SIEKIERA

Gdyby drogi przeznaczenia w swej zawichości nie były tak nieprzewidywalne, że nigdy nie widać ich kresu, a najwyżej się go przeczuwa, można by powiedzieć, że Karl Taube, pomimo okrutnego końca, urodził się pod szczęśliwą gwiazdą (jeżeli przyjąć naszą tezę, że mimo wszystko przemijające cierpienie trwania jest więcej warte niż ostateczna pustka nicości): ci, którzy chcieli zabić w nim rewolucjonistę, ci z Dachau, jak i ci z dalekiej Kołomy, nie chcieli, albo nie mogli, zabić w nim lekarza, „czarownika”. Lecz nie będziemy tu rozwijać heretyckiej i niebezpiecznej myśli, którą by można z tego wyprowadzić: że choroba i jej cień, śmierć, są, zwłaszcza w oczach tyranów, tylko tym, w czym przejawia się nadprzyrodzone, a lekarze – swego rodzaju czarownikami; oto logiczna konsekwencja określonego światopoglądu.

Wiadomo nam, że pod koniec roku 1936 doktor Taube przebywał w łagrze w Murmańsku; że skazano go na śmierć, a później karę tę zamieniono na dwadzieścia lat zesłania; że z początku prowadził strajk głodowy, sprzeciwiając się skonfiskowaniu mu okularów. To wszystko. Wiosną 1941 roku odnajdujemy go w kopalni niklu na dalekiej Północy. Wtedy już nosi biały lekarski fartuch i niby mąż sprawiedliwy obchodzi swoich licznych chorych, skazanych na powolną śmierć. W łagrze zasłynął dwiema operacjami: pierwszą przeprowadził na swoim byłym kacie z Łubianki, poruczniku Kriczence (obecnie łagierniku), po perforacji wyrostka robaczkowego; drugiej poddał kryminalistę Siegidulina – z czterech palców, które urka odrąbał sobie tępą siekierą, by uwolnić się od gorszych cierpień w piekielnej kopalni niklu, Taube uratował mu dwa.

Ciekawa była reakcja byłego włamywacza: zrozumiawszy, że jego własna interwencja chirurgiczna się nie powiodła, zagroził Taubemu, że ukarze go tym, na co zasłużył – poderżnięciem gardła. Później, gdy inny urka, z którym dzielił pryczę, powtórzył mu szerzące się pogłoski o rychłej rehabilitacji socjalnie bliskich (pogłoski te się sprawdziły), Siegidulin zmienił zdanie i na pewien czas cofnął uroczyście wypowiedzianą groźbę. Uznał pewnie, że dwa palce lewej ręki przydadzą się jednak w jego złodziejskim fachu.

TRAKTAT O GRACH HAZARDOWYCH

Wśród rosnącej liczby świadectw o piekle Archipelagu Podbiegunowego względnie rzadkie są dokumenty opisujące mechanizm gier hazardowych. Nie mam tu na myśli hazardu życia i śmierci: cała literatura o zaginionym kontynencie to w rzeczy samej tylko rozbudowana metafora Wielkiej Loterii, w której wygrane bywają rzadkie, a przegrane stanowią regułę. Dla badaczy współczesnych idei interesujące byłoby prześledzenie wzajemnych związków tych dwu mechanizmów: koło Wielkiej Loterii obracało się nieubłagane, niby ucieleśnienie zasady złej mitycznej boskości, zaś ofiary tej piekielnej karuzeli, przeniknięte duchem *imitatio*, platońskim i jednocześnie demonicznym, naśladowały wielką zasadę hazardu. Bandy kryminalistów, pod pochlebną nazwą socjalnie bliskich, grały w niekończące się polarne noce o wszystko, o co tylko można: o pieniądze, o uszanki, o buty, o porcję zupy, o kromkę chleba, o kostkę cukru, o zmarznięty kartofel, o strzępek tatuowanej skóry (swojej albo cudzej), o gwałt, o nóż, o machorkę, o życie.

Historia łagiernych kart i gier hazardowych nowej Atlantydy nie została jednak napisana. Myślę więc, że będzie nie od rzeczy, jeśli przedstawię pokrótce (odwołując się do Taraszczenki) niektóre reguły tych potwornych gier, reguły, które na swój sposób splatają się z naszą opowieścią. Taraszczenko opisuje liczne rodzaje gier uprawiane przez kryminalistów, których obserwował podczas dziesięcioletniego pobytu w różnych okolicach zatopionego świata, przede wszystkim na Kołymie. Najmniej wymyślna jest może gra za pomocą wszy – bardzo podobna do tej, w której gracze z ciepłych krajów posługują się muchami. Przed każdym kładzie się kostkę cukru, po czym czeka w nabożnej ciszy, aż na którejś z kostek usiądzie mucha i w ten sposób wskaże zwycięzcę lub przegranego, zależnie od umowy. Wszy odgrywają tę samą rolę, z tym, że przynętą jest tu sam gracz, bez żadnych środków pomocniczych poza smrodem własnego ciała i „osobistym szczęściem”. Jeżeli oczywiście można mówić o szczęściu. Albowiem często ten, do którego dotarła wesz, otrzymywał mało przyjemną misję poderżnięcia gardła człowiekowi wskazanemu przez zwycięzcę.

Nie mniej interesujący jest wykaz gier łagiernych oraz ich ikonografia. Choć w latach czterdziestych prawdziwa talia kart w rękach łagiernika-kryminalisty (wyrwana w o l n i a k o w i albo kupiona od niego) nie należała już do rzadkości, najulubieńsze i najbardziej rozpowszechnione były karty własnej roboty (oczywiście znaczone), ze sklejonych warstw papieru gazetowego. Uprawiano wszystkie rodzaje gier hazardowych, od najprostszyc, jak oczko, skat czy poker, aż po pewną odmianę tajemniczego taroka.

CZORTIK

Czortik albo *matuszka* stanowi cały symboliczny, zaszyfrowany język i pod wielu względami przypomina taroka marsylskiego. Doświadczeni kryminaliści, z długim łagiernym stażem, potrafili również porozumiewać się przy pomocy tych własnoręcznie robionych kart: zamiast mówić pokazywali kartę, po czym niby na rozkaz błyskał nóż, lała się krew. Z poufnych wyjaśnień mordercy, jeżeli potrafi się pozyskać jego zaufanie, można poza tym wnioskować, że do średniowiecznej ikonografii tych kart wchodziła się jakaś staroruska, wschodnia symbolika. Liczba kart ograniczała się najczęściej do dwudziestu sześciu.

„Nigdy nie widziałem, by grano zwykłą talią z siedemdziesięciu ośmiu kart”, powiada Taraszczenko, „choć rachunek (podzielenie siedemdziesięciu ośmiu przez trzy i przez dwa) jasno wskazuje, że mamy do czynienia jedynie z redukcją talii do klasycznej odmiany taroka. Sądzę, że do redukcji doszło po prostu z przyczyn praktycznych: takie karty łatwiej było zrobić i ukryć”.

Kolory (niekiedy oznaczone jedynie początkowymi literami) pojawiają się tylko cztery: różowy, niebieski, czerwony, żółty. Ideogramy występują najczęściej w uproszczonej postaci, a są to: Kij (porządek, rozkaz, głowa, także: rozbita czaszka); Kielich (matka, wódka, nieład, sojusz); Sztylet (wolność, pederastia, poderżnięte gardło); Złota Moneta (zbrodnia, tortura, izolotka). A oto inne symbole i warianty: Kurwa, Caryca, Car, Ojciec, 69, *Trojka*, Władza, Wisielec, Bezimienny (Śmierć), Wnętrznosci, Diabeł (*Czortik*, *Czort*), Ciupa, Gwiazda, Księżyc, Słońce, Sąd, Oszczep (albo Maszt).

Czortik lub *matuszka* to w rzeczy samej wariant antropocentrycznej gry, która dotarła do naszych czasów z dalekich, mitycznych przestrzeni średniowiecza i spotkała się z Azją: krąg rozłożonych kart do *czortika* wyobraża Koło Fortuny; dla fanatyków jest on jakby ręką przeznaczenia.

„Także tutaj nie zatracił się związek, jaki istnieje w europejskim taroku między symboliką chiromantyczną a znakami zodiaku”, pisze Taraszczenko. „Tatuaż na piersiach, plecach czy pośladkach łagierników ma takie samo znaczenie jak znaki zodiaku dla ludzi Zachodu i na tej samej zasadzie można go łączyć z *czortikiem*”. Również Terc przenosi związek między tatuażem a mityczną symboliką na plan metafizyczny.

„Oto tatuaż”, pisze, „z przodu orzeł rozrywający dziobem piersi Prometeusza, z tyłu pies w niezwyklej pozie, spółkujący z jakąś damą. Dwie strony medalu. Orzeł i reszka. Światło i ciemność. Tragedia i komedia. Parodia własnej wzniosłości. Bliskość seksu i śmiechu. Seksu i śmierci”.

BĘKARTY MAKARENKI

W niebieskawym półmroku, w którym kłębią się obłoki dymu, na zapluskwionych pryczach, leżąc na boku, jak bojarzy, czterej karciarze-urkowie miały w kikutach pożółkłych zębów brudne słomki albo ssą machorkę zwiniętą w grube, zaślinione „cygara”. Wokół tłoczy się gromada kibiców, wpatrzonych z zachwytem w twarze słynnych urków, w ich wytatuowane piersi i łapska. Kart nie mogą widzieć, karty są dla pachanów, nie wolno na nie nawet spojrzeć, chyba że zostały odkryte; w przeciwnym razie mogłoby to drogo kosztować.

Wystarcza jednak łaska przebywania na bandyckim olimpie, w bliskości tych, którzy w nabożnej ciszy trzymają w ręku losy innych, losy, którymi w tym magicznym krążeniu kart rządzą pozornie, w oczach kibiców, przypadek i fatum. Łaską jest także móc pachanom usłużyć, rozpalić w piecyku, podać wody, ukraść dla nich ręcznik, wyiskać koszulę albo – na ich skinienie – rzucić się na kogoś z tych na d o l e i uciszyć go raz na zawsze, by swoim bredzeniem we śnie czy na jawie, swoim wołaniem do nieba nie zakłócał nieubłaganego toku gry, w której jedynie bezimienna, tajemna siła, z liczbą porządkową 13 oraz kolorem krwi i ognia, może przekreślić i odebrać wszelkie złudzenia. Wystarcza szczęście, że jako kibice są na górze, na pryczach, w pobliżu wytatuowanych bóstw, Orła, Żmii, Smoka i Małpy, że mogą śmiało słuchać ich magicznych zaklęć i potwornych przekleństw, którymi hańbią oni rodzoną matkę, jedyną świętość bandycką, kojarząc ją z psem lub diabłem.

Tak oto wyłania się z błękitnawego półmroku obraz przestępców, bękartów Makarenki, których pod mitycznym imieniem socjalnie bliskich już prawie od pół wieku pokazuje się na scenach europejskich metropolii, w proletariackim kaszkiecie łobuzersko zsuniętym na czoło i z czerwonym goździkiem w zębach, obraz tej kanalii, która w balecie *Dama i chuligan* wykona swój słynny piruet przeobrażenia bandyty w trubadura i obłaskawionego baranka, jedzącego z ręki.

MAŁPA I ORZEŁ

Trzymając karty między kikutami palców lewej ręki (po których od tej pory i na zawsze łatwo będzie rozpoznać słynnego bandytę, a w kartotekach policyjnych wystąpi zagadkowy brak odcisków palca wskazującego i trzeciego), Siegidulin, nagi do pasa, z wytatuowaną onanizującą się małpą na nieowłosionych piersiach, spogląda przekrwionymi oczami na pachana Korszunidzego i knuje zemstę. Na moment zapada grobowa cisza, w górze na pryzkach, wśród urków, i na dole, wśród skazanych za stokroć niebezpieczniejsze przestępstwo – za myślenie. Kibice, z zapartym tchem, nawet nie mrugną, tylko patrzą gdzieś w przestrzeń, skamieniali, z niedopałkiem tłącym się na wardze, którego nie śmia wypluć, nie śmia poruszyć głową ani wargami, nie śmia dotknąć włochatych piersi, choć lezie po nich wesz.

Ci na dole, wycieńczeni, półżywi, przestali z sobą szeptać, coś się dzieje, urka jest niebezpieczny, zwłaszcza kiedy milczy, koło fortuny zatrzymało się, czyjaś matka zapłacze. To wszystko, co wiedzą, wszystko, co mogą wiedzieć, poza przerażającą mową ciszy i przekleństwami nie rozumieją kminy, zaszyfrowanej gwary przestępczej. Całkiem nieprzydatne są tu znane słowa, bo w języku bandytów następuje przesunięcie znaczeń, Bóg znaczy Diabeł, a Diabeł znaczy Bóg.

Siegidulin czeka, aż pachan rozłoży karty, na niego kolej. Kruminsz i Gadżaszwili, dwaj pozostali gracze, których nazwiska też zapisały się w historii podziemia, odłożyli karty i z miłym dreszczykiem obserwują teraz pojedynek Małpy z Orłem. (Siegidulin to były pachan, którego miejsce, gdy leżał w lazarecie, zajął Korszunidze zwany Artystą, dla przyjaciół Orzeł).

Na dole narasta niepokój: cisza na pryczach urków trwa za długo. Wszyscy czekają na krzyk i przekleństwo. Pojedynek toczy się jednak między dwoma pachanami, byłym i obecnym, toteż reguły gry są nieco inne. Gracze przechwalają się najpierw i wzajemnie prowokują. „Teraz przynajmniej, Małpo”, mówi Orzeł, „będziesz mógł wsuwać lewą rękę do kieszeni”. Mija kilka sekund, zanim Siegidulin, były pachan i słynny morderca, odpowie na tę straszliwą obelgę: „O tym potem, Orle. Teraz pokaż karty”. Ktoś chrząknął, na pewno któryś z nich dwóch, bo kto poza tym byłby tak nieostrożny? „Lewą czy prawą ręką, Małpo?” pyta Korszunidze. „Mówię ci, ptaszku, pokaż karty, choćby i w dziobie”. Skrzypnęła prycza, i znów milczenie. W chwilę potem Korszunidze szpetnie przeklął kaleką matuchną, jedyną świętość bandycką. Wszyscy zrozumieli, nawet ci nie znający kminy: pachan przegrał, czyjaś matka zapłacze.

SUKA

Zapewne nigdy się nie wyjaśni, kto powiedział doktorowi Taubemu o tym, jak zakończyła się słynna partia kart, w której zapadł na niego wyrok śmierci, a chytry bandzior zwany Małpą, tym razem wybraniec losu, pokonał królewskiego Orła, pachana Korszunidzego. Najprawdopodobniej jakiś ligawy, w koszarnej niepewności, czy narazić się na niełaskę władz, czy niełaskę tutejszych, igrając z losem zdecydował się w końcu na pozorną i złudną łaskę tymczasowych panów, i doniósł do zarządu łągru.

Doktor Taube, dla którego znany z surowości komendant łągru, nazwiskiem Panów, żywił pewną wdzięczność, został z pierwszym transportem wysłany na Kołymę, jakieś trzy tysiące kilometrów na północny wschód. Do przyjęcia jest chyba przypuszczenie wysunięte przez Taraszczenkę: Taubego przez swoich adiutantów zawiadomił sam Siegidulin. Logiczna wydaje się również motywacja takiego postępku: Małpa chciał upokorzyć Orła. Człowiek, któremu tego dnia nie dopisało szczęście i który wziął na siebie uroczysty obowiązek, że z polecenia zwycięzcy, Siegidulina, zlikwiduje Taubego, nie mogąc spełnić tego ślubu, długo będzie nosił haniebne miano suki. A suką gardzi każdy. Rzecz nie do zniesienia dla byłego pachana.

Korszunidze, zwany Artystą i Orłem, zaczął wyć jak prawdziwa suka już nazajutrz, kiedy wróciwszy z kopalni (gdzie został nadzorcą i plagą łągierników), dowiedział się, że Taubego wysłano z transportem. „Ten, który należy do ciebie, pojechał ożenić się z inną”, powiedział mu Siegidulin swoim syczącym głosem nowego pachana.

„Łżesz, Małpo”, odparł Korszunidze blady jak śmierć, ale z jego twarzy można było wyczytać, że uwierzył słowom Siegidulina.

ŁOM

Korszunidze, wyliniały orzeł, były sławny Łomiarz, były pachan, osiem lat tułał się ze spuszczoną głową, jak parszywy pies. Krył swego orła, który szarpał mu wątrobę w kolejnych łagpunktach i lazaretach, gdzie wyciągano z jego brzucha klucze, kłębki drutu, łyżeczki, zardzewiałe gwoździe. Osiem lat ścigał go cień Siegidulina jak zły los, wysyłając na stacje tranzytowe polecenia, w których nazywany był swoim prawdziwym imieniem – suka.

Aż pewnego dnia, już jako wolniak (jeżeli można tak nazwać człowieka żyjącego ze straszliwym ciężarem upokorzenia), otrzymał list od kogoś, kto znał jego tajemnicę. List szedł z Moskwy do Makłakowa dziesięć dni. W kopercie ze stemplem z dnia 23 listopada 1956 roku znajdował się wycinek z gazety (bez daty), a na nim dość mętny tekst, z którego jednak Korszunidze mógł zrozumieć, co trzeba: że doktor Taube, stary towarzysz partyjny, niegdyś członek Kominternu, znany pod nazwiskiem Kiriłła Bajca, został zrehabilitowany i po wyjściu z łagru zatrudniony jako dyrektor szpitala w Tiumeniu. (Pogląd Taraszczenki, że wycinek z gazety posłał sam Siegidulin, wydaje mi się znowu słuszny; Łomiarz zostanie mordercą albo suką na zawsze – wystarczająca satysfakcja dla tego, który przez długie lata rozkoszował się zemstą).

Tego samego dnia Korszunidze wyruszył w drogę. Jak dotarł z Archangielska do Tiumentia bez wymaganych dokumentów w ciągu zaledwie trzech dni, nie ma tu większego znaczenia. Z tiumeńskiego dworca do szpitala poszedł pieszo. Podczas śledztwa portier przypomniał sobie, że tego wieczoru, gdy dokonano morderstwa, jakiś mężczyzna pytał o doktora Taubego. Twarzy nieznanego portier nie zapamiętał, zwłaszcza że był on w kaszkiecie nasuniętym na oczy.

Doktor Taube przyjechał do Tiumentia zaledwie kilka dni przedtem, z Norylska, gdzie przez dwa lata pracował jako wolniak. Tej nocy miał dyżur w szpitalu. Kiedy Korszunidze wszedł do pokoju lekarzy, doktor właśnie nachylał się nad stołem i puszką tuńczyka. W pokoju cicho grało radio i nawet nie słyszał, że otworzyły się drzwi obite ceratą. Korszunidze wyjął spod kurtki łom, narzędzie włamywaczy, i zadał Taubemu trzy straszliwe ciosy w czaszkę, nawet nie widząc jego twarzy.

Potem bez pośpiechu, a zapewne z ulgą, przeszedł koło portiera, byłego kozaka, który w pijanym widzie, kołysząc się lekko, spał wyprostowany jak w siodle.

OSTATNIA POSŁUGA

Za trumną doktora Taubego szły tylko dwie osoby: jego służąca Frau Elbę, Niemka powołańska (jeden z rzadkich zachowanych okazów tej ludzkiej flory), oraz lekko stuknięta tiumeńska dewotka, która chodziła na wszystkie pogrzeby. Frau Elbę służyła u doktora już dawno temu, w Moskwie, a więc w czasach, kiedy dopiero przyjechał do Rosji. Mogła mieć około siedemdziesięciu lat. Choć jej językiem ojczystym, podobnie zresztą jak Taubego, był język niemiecki, rozmawiali zawsze po rosyjsku. Sprawa ta miała prawdopodobnie dwa powody: po pierwsze, doktor i jego żona pragnęli możliwie szybko wtopić się w nowe środowisko, poza tym w grę wchodziła jakaś przesadna uprzejmość, a w gruncie rzeczy elegantsza forma strachu.

Jako że z rodziny doktora nikt nie został przy życiu (żona umarła w łagrze, a syn poległ na froncie), Frau Elbę wróciła do swego ojczystego języka: suchymi, posiniałymi wargami szeptała półgłosem modlitwę po niemiecku. Dewotka mówiąca przez nos modliła się po rosyjsku za spokój duszy raba Bożego Karla Georgiewicza, jak wypisano złotymi literami na szarfach wieńca, zamówionego przez kolektyw szpitalny.

Działo się to okrutnie zimnego popołudnia, 7 grudnia 1956 roku, na cmentarzu w Tiumeniu.

Dalekie i nieodgadnione są drogi, które doprowadziły do spotkania gruzińskiego mordercy z doktorem Taube. Dalekie i nieodgadnione jak drogi Pańskie.

GROBOWIEC DLA BORYSA DAWIDOWICZA

Pamięci Leonida Šejki

Historia zapamiętała go pod nazwiskiem Nowski, a jest to bez wątpienia pseudonim (mówiąc dokładniej, jeden z jego pseudonimów). Zaraz jednak nasuwa się pytanie: czy historia rzeczywiście go zapamiętała? W encyklopedii Granata i suplementie do niej, wśród dwustu czterdziestu sześciu autoryzowanych biografii oraz autobiografii bohaterów i działaczy rewolucyjnych, nie ma jego nazwiska. W komentarzu do tej encyklopedii Haupt pisze, że znalazły się w niej wszystkie ważniejsze postacie rewolucjonistów i wyraża tylko żal z powodu „zadziwiającej i niewytłumaczalnej nieobecności Podwojskiego”. Ani słowem nie wspomina jednak o Nowskim, który w rewolucji odegrał na pewno większą rolę. Tak więc, „w zadziwiający, niewytłumaczalny sposób” człowieka, który ze swoimi zasadami wnosił do polityki rygorystyczną moralność, płomiennego internacjonalistę, kroniki rewolucji odnotowały jako postać bez oblicza i głosu.

W tym tekście, wprawdzie fragmentarycznym i niepełnym, będę próbował wskrzesić pamięć niezwyklej, kontrowersyjnej postaci Nowskiego. Pewne luki, odnoszące się zwłaszcza do najważniejszego okresu jego życia, czasu rewolucji i lat bezpośrednio po niej, podobnie jak w wypadku innych biografii, o których pisze wspomniany komentator, można wytłumaczyć tym, że życie Nowskiego po 1917 roku wtapia się w życie publiczne i staje „częścią historii”. Z drugiej strony, jak mówi Haupt, nie należy zapominać, że te życiorysy były pisane pod koniec lat dwudziestych: stąd istotne braki, dyskrekcja i pośpiech. Pośpiech, dodajmy, przedśmiertny.

Starożytni Grecy mieli pewien obyczaj godny szacunku: tym, którzy spłonęli w ogniu, których pochłonęły kratery wulkanów i zasypała lava, tym, których pożarły rekiny, których rozszarpały dzikie zwierzęta albo rozniosły na pustyni sępy, budowali w ojczyźnie tak zwane cenotafy, puste grobowce, jako że ciało jest ogniem, wodą i ziemią, a dusza alfą i omegą, jej trzeba wznieść świątynię.

W roku 1885, po Bożym Narodzeniu, 2 Carski Regiment Konny zatrzymał się na zachodnim brzegu Dniepru, by wytnąć i uczcić dzień Trzech Króli, Objawienie Pańskie. Książę Wiaziemski – w randze pułkownika kawalerii – wyniósł z lodowatej wody znak Chrystusa w postaci srebrnego krzyża. Żołnierze rozsadzili przedtem dynamitem grubą tafelę lodu na długości około dwudziestu metrów; woda miała kolor stali. Młody książę Wiaziemski nie zgodził się, by przewiązano go w pasie liną. Przeżegnał się i przez chwilę patrzył niebieskimi oczyma w pogodne zimowe niebo, a potem skoczył do wody. Jego wyjście z lodowatych nurtów uczczono salwą karabinową, a następnie strzelaniem korków od butelek szampana w kantine oficerskiej, zaimprovizowanej w budynku tamtejszej szkoły. Żołnierze dostali także świąteczną rację: po siedemset gramów rosyjskiego koniaku – dar księcia Wiaziemskiego dla 2. Regimentu. Pili do późnego popołudnia, a uczta zaczęła się zaraz po nabożeństwie, odprawionym w wiejskiej cerkwi.

Jedynie Dawid Abramowicz nie uczestniczył w służbie Bożej. W tym czasie czytał podobno Talmud, leżąc w stajni, w ciepłym żłobie; wiadomość ta, ze względu na obfitość asocjacji literackich, wydaje mi się wątpliwa. Kiedy jeden z żołnierzy zauważył jego nieobecność, zaczęły się poszukiwania. Znalaziono go w szopie na sianie (wedle niektórych – w stajni); obok leżała nietknięta flaszką koniaku. Siłą zmuszono go do wypicia alkoholu, podarowanego w dowód łaski carskiej, a następnie rozebrano do pasa, by nie kalać munduru, i wychłostano knutem. Wreszcie, nieprzytomnego, żołnierze przywiązali do konia i zaciągnęli nad Dniepr.

W miejscu, gdzie lód był rozbity, utworzyła się już nowa, cienka tafla. Wepchnęli nieszczęśnika do lodowatej wody, obwiązanego w pasie rzemieniem, by nie utonął. Kiedy go w końcu wyciągnęli, zsiniałego i półżywego, wiali mu do ust resztę koniaku i trzymając nad jego głowę srebrny krzyż, zaśpiewali chórem *Owoc wnętrzości twoich*. Przed wieczorem, z wysoką gorączką, przewieźli go do wiejskiego „nauczyciela” nazwiskiem Salomon Melamud. Rany na plecach nieszczęsnego żołnierza smarowała olejem rybnym szesnastoletnia córka Melamuda. Dawid Abramowicz, wciąż jeszcze w gorączce – zanim wyruszył rano wraz ze swym oddziałem, który miał pilnie zdławić jakiś bunt – przyrzekł dziewczynie, że wróci. Obietnicy dotrzymał.

Nie ma raczej powodu, by wątpić w autentyczność tego romantycznego spotkania. Jego owocem będzie Borys Dawidowicz, który przejdzie do historii pod nazwiskiem Nowski, B.D. Nowski.

W archiwach ochrony figurują trzy daty urodzenia: 1891, 1893, 1896. Nie jest to wyłącznie skutek tego, że rewolucjoniści posługiwali się fałszywymi dokumentami. Wystarczyło parę kopiejek dla pisarza czy popa, i sprawa była załatwiona – jeszcze jeden dowód korupcji szerzącej się wśród urzędników.

Mając cztery lata, Borys Dawidowicz umiał już czytać i pisać. Jako ósmioletniego chłopca ojciec zabrał go z sobą do gospody „Saratów” w pobliżu żydowskiego targu, gdzie przy stoliku w kącie, koło porcelanowej spluwaczki, wykonywał swój zawód adwokata. Przychodzili tam starzy żołnierze armii carskiej, z rudymi, płomiennymi brodami i zmęczonymi, podkrążonymi oczyma, a także, z okolicznych sklepików, kupcy żydowsko-konwertyci, w długich, zatłuszczonych rosyjskich kaftanach i z rosyjskimi nazwiskami, nie pasującymi do ich semickiego chodu (trzy tysiące lat niewoli i długa tradycja pogromów stworzyły rodzaj chodu, wypraktykowanego w gettach). Mały Borys Dawidowicz notował ich skargi, a pisał już lepiej niż ojciec. Wieczorami podobno matka czytała mu psalmy i nuciła.

W dziesiątym roku życia pewien stary rządca opowiedział mu o powstaniu chłopskim z roku 1846 – okrutną historię, w której knut, szabla i szubienica odgrywały rolę narzędzi sprawiedliwości. W trzynastym roku życia, pod wpływem *Antychrysta* Sołowjowa, uciekł z domu, ale wrócił z jakiejś dalekiej stacji, pod eskortą policji.

Tu zachodzi dziwny, niewytłumaczalny zwrot: spotykamy go na targu, gdzie sprzedaje puste butelki po parę kopiejek, jak również tytoń z przemytu, cytryny i zapałki.

Jest rzeczą znaną, że jego ojciec dostał się w tamtych czasach pod zgubny wpływ nihilistów i doprowadził rodzinę na skraj przepaści. (Niektórzy twierdzą, że przyczyniła się do tego gruźlica, dopatrując się chyba w tej chorobie symptomów podstępnego organicznego nihilizmu).

W wieku czternastu lat Borys Dawidowicz pracował jako uczeń w sklepie rzeźniczym, gdzie sprzedawano *koszer*; przez półtora roku mył naczynia i czyścił samowary w tej samej gospodzie, w której kiedyś przepisywał skargi; jako szesnastoletni chłopiec, w Pawłogradzie, był zatrudniony w arsenale przy sortowaniu pocisków armatnich; mając lat siedemnaście, jako doker w Rydze, czytał podczas strajków Leonida Andriejewa i Schellera-Michajłowa. W tym samym roku można go było spotkać w fabryce pudeł i opakowań papierowych Teodora Kibla, gdzie pracował za pięć kopiejek dziennie.

W jego życiorysie nie brak danych, z tropu natomiast zbija chronologia (którą jeszcze bardziej komplikują fałszywe nazwiska i ustawiczne zmiany miejsc pobytu). W lutym 1913 roku pojawia się w Baku jako pomocnik palacza na parowozie; we wrześniu tegoż roku wśród przywódców strajku w fabryce tapet w Iwano-Wozniesiensku; w październiku wśród organizatorów demonstracji ulicznych w Petersburgu. Nie brak także szczegółów: konna policja rozpędza demonstrantów szablami i czarnymi skórzanymi biczami, junkierską odmianą knuta.

Borys Dawidowicz, znany w tamtych latach jako *Biezzrobotnyj*, zdołał uciec bocznym wyjściem z domu publicznego przy ulicy Dołgorukowskiej; kilka miesięcy nocował z bezdomnymi w remontowanej łaźni miejskiej, potem nawiązał kontakt z grupą terrorystyczną, przygotowującą zamachy bombowe; pod nazwiskiem stróża nocnego wspomnianej łaźni (Nowski) wiosną 1914 roku, ze skutymi nogami, wyruszył w ciężką drogę do więzienia centralnego we Władymirze; chory, z wysoką gorączką, przechodził etapy jak przez mgłę; w Narynie, gdzie zdjęto mu kajdany z wychudłych, poranionych nóg, zdołał uciec łodzią rybacką, którą znalazł bez wiosła, przywiązaną u brzegu. Popłynął z szybkim nurtem rzeki, ale rychło przekonał się, że żywioł natury, podobnie jak żywioł ludzki, nie podporządkowuje się marzeniom ani zakłębom: znaleziono go w odległości pięciu wiorst od miejsca ucieczki, gdzie wyrzuciły go rzeczne wiry. Kilka godzin spędził w lodowatej wodzie, być może świadom, że przeżywa powtórzenie rodzinnej legendy – przy brzegu rzeki utrzymywała się jeszcze cienka tafla lodu. W czerwcu, pod nazwiskiem Jaków Mauzer, został powtórnie skazany na sześć lat za organizowanie wśród więźniów tajnej grupy terrorystycznej. W ciągu trzech miesięcy, jakie spędził za kratami w Tomsku, słuchał okrzyków i słów pożegnania skazańców prowadzonych na śmierć; w cieniu szubienicy czytał teksty Antonia Labrioli o materialistycznej koncepcji dziejów.

Wiosną 1912 roku, w wytwornych salonach Petersburga, gdzie z narastającym niepokojem mówiono o Rasputinie, pojawia się młody inżynier nazwiskiem Ziemlanikow, w jasnym garniturze najnowszej mody, z ciemną orchideą w klapie, w eleganckim kapeluszu, z laską i monoklem. Ów dandys o nienagannych manierach, z bródką i gęstymi ciemnymi włosami, młodzieniec szeroki w barach, chwali się swoimi znajomościami, o Rasputinie mówi ironicznie, twierdzi, że zna osobiście Leonida Andriejewa. Historia toczy się dalej według klasycznego schematu: damy, z początku nieufne wobec młodego pyszałka, zaczynają go zasypywać zaproszeniami i odkrywają jego niezaprzeczalny szarm – zwłaszcza gdy udaje się potwierdzić prawdziwość przynajmniej jednej z opowieści, jakie od niego usłyszały. Oto Maria Grigoriewna Popko, żona wysokiego carskiego urzędnika, zobaczyła pewnego dnia, na przedmieściu, jak siedząc w czarnym lakierowanym fiakrze, wydawał polecenia, pochyłony nad swoimi planami. Wiadomość, że Ziemlanikow jest naczelnym inżynierem, odpowiedzialnym za przeciągnięcie kabli i założenie sieci elektrycznej w całym Petersburgu (wiadomość historycznie potwierdzona), jeszcze powiększyła jego rozgłos i liczbę zaproszeń. Przyjeżdżał czarnym fiakrem na umówione spotkania; popijając szampana, opowiadał o wytwornych kręgach towarzyskich w Wiedniu z nieskrywaną sympatią i pewnym rodzajem nostalgii. Punktualnie o dziesiątej wieczorem opuszczał lekko podpite damy i wsiadał do swego fiakra.

Nigdy natomiast nie udało się dowieść prawdziwości podejrzeń, że Ziemiałow ma nieślubną żonę (wedle niektórych także dziecko), damę z wyższych sfer, choć sam je podsycił nagłym, regularnym wychodzeniem punktualnie o dziesiątej. Wielu uważało to za przejaw ekstrawagancji, zwłaszcza po sławetnym skandalu, kiedy opuścił salon Gierasimowów w czasie, gdy Olga Michajłowna śpiewała arię. Ziemiałow spojrzął na srebrny zegarek kieszonkowy i ku ogólnemu zdumieniu wyszedł niezwłocznie.

Nagle i niespodziewane znikanie Ziemiałowa ze świata i z życia petersburskich salonów nie dziwiło nikogo, wiadomo było, że jako naczelny inżynier często wyjeżdża z kraju. Swe obowiązki łatwiej znosił dzięki temu, że będąc poza Rosją, zawsze mógł odświeżyć garderobę jakimś modnym drobiazgiem i prócz okazjonalnych podarków przywieźć nową opowiadkę o światowym życiu za granicą. Tak więc jego nieobecność na głośnym balu jesienią 1913 roku mogła wywołać jedynie żal, zwłaszcza że Ziemiałow potwierdził telegraficznie swoje przybycie.

Tym razem nieobecność inżyniera potrwała jednak nieco dłużej. Nie bez powodu można było pomyśleć, że Ziemanikow na salonach Petersburga to tylko krótki sezonowy spektakl, jeden z tych, które kończą się smutno, nagłym zapomnieniem. (Jego miejsce zajął młody, przystojny kadet, który przynosił świeże wiadomości z dworu, z bezpośredniego otoczenia Rasputina, i który w odróżnieniu od Ziemanikowa, nie mając innych obowiązków, zabawiał towarzystwo aż do świtu). Tym większe było zdumienie, kiedy ta sama Maria Grigoriewna Popko (wydaje się, że lubiła ona, niczym królowa, jeździć po mieście swoim powozem) spostrzegła na ulicy Stołpyńskiej, wśród przemarzniętych i zgłodniałych więźniów, zamiatających jezdnię, twarz, która wydała jej się znajoma. Wyszła z powozu i dała temu biedakowi jałmużnę do ręki. Był to bez wątpienia Ziemanikow.

W ten sposób duch inżyniera Ziemanikowa wrócił na salony i zagroził sławie Rasputina. Nietrudno było ustalić pewne fakty: częste wyjazdy za granicę Ziemanikow wykorzystywał w celach nielegalnych; przy ostatnim powrocie z Berlina w jego czarnych skórzanych walizach, pod jedwabnymi koszulami i kosztownymi garniturami, straż graniczna odkryła pięćdziesiąt brauningów produkcji niemieckiej. To, czego Maria Grigoriewna nie mogła wiedzieć i na co przyszło czekać blisko dwadzieścia lat (aż do czasu, gdy zostaną odnalezione archiwa ochrony, które wykradł ambasador Małakow), budzi jednak o wiele większe zdumienie: Ziemanikow był organizatorem i uczestnikiem słynnej „ekspropriacji” furgonu pocztowego, kiedy to kilka milionów rubli wpadło w ręce rewolucjonistów. Prócz wspomnianych brauningów trzykrotnie przemycił do Rosji broń i materiały wybuchowe; będąc redaktorem podziemnego pisma „Wostocznaja Zoria”, drukowanego na bibułce do papierosów, osobiście przywoził w swoich czarnych walizach kauczukowe matryce, bardzo nieporęczne w użyciu. Spektakularne zamachy w ciągu pięciu ostatnich lat były jego dziełem. Od wszystkich innych różniły się niszczycielską siłą bomb wykonanych w tajnym warsztacie Ziemanikowa, które zmieniały dobrze upatrzone ofiary w górę krwawego mięsa i połamanych kości. Z powodu aroganckiego zachowania (bez wątplenia udawanego) inżyniera nie cierpieli podlegający mu robotnicy. Jak sam zeznał, marzył przede wszystkim o stworzeniu bomby wielkości orzecha, o ogromnej sile rażenia (do tego ideału podobno zbliżył się niebezpiecznie).

Po zamachu na gubernatora von Launitza policja uznała, że zginął: trzech świadkowie potwierdzili, iż głowa wystawiona w naczyniu z alkoholem należy do Ziemanikowa. Dopiero pojawienie się demonicznego Azefa pozwoliło ustalić, że głowa w spirytusie, ze skórą nieco już pomarszczoną, nie jest identyczna z „asyryjską czaszką” Ziemanikowa. Dwukrotnie uciekał z więzienia, a raz z katorgi; za pierwszym razem, wraz z towarzyszami, wywiercił otwór w ścianie celi; za drugim zniknął z łaźni w mundurze dozorczy, który został w bieliźnie. W przebraniu wędrownego handlarza przejechał przez granicę żydowską dwukółką, znanym wilkomierskim szlakiem przemytniczym. Posługiwał się fałszywym paszportem na nazwisko M.W. Ziemanikow, a jego prawdziwe nazwisko brzmiało Borys Dawidowicz Melamud, względnie B.D. Nowski.

Oczywista luka występuje tutaj w źródłach, jakimi się posługujemy (nie będziemy nimi obciążać czytelnika, by pozostawić mu złudną przyjemność obcowania z opowieścią, którą zazwyczaj, na szczęście autora, przypisuje się sile jego wyobraźni). Później odnajdujemy Nowskiego w domu dla umysłowo chorych w Malinowsku, wśród ciężkich i niebezpiecznych przypadków; stamtąd w przebraniu gimnazjalisty ucieka rowerem do Batumi. Obłąd był niewątpliwie symulowany, wbrew podpisom dwóch znanych lekarzy; policja nie dała się jednak oszukać i wprowadziła ich nazwiska na listę sympatyków rewolucji.

Jego dalsza droga jest mniej więcej znana: pewnego wrześniowego ranka 1913 roku, o świcie, Nowski dostaje się na statek i ukryty między tonami jaj, przez Konstantynopol dociera do Paryża. Za dnia przesiaduje w rosyjskiej bibliotece przy avenue des Gobelins i w muzeum Guimet, gdzie studiuje filozofię historii i religii, a wieczorami w „La Rotonde”, na Montparnasse, z kuflem piwa w rękę i „w najładniejszym kapeluszu, jaki można w tych czasach zobaczyć w Paryżu”. (Ta aluzja Bruce’a Lockharta do kapelusza Nowskiego nie jest pozbawiona odniesień politycznych: pracował on podobno dla wpływowego związku zawodowego kapeluszników żydowskich we Francji).

Po wybuchu wojny znika z Montparnasse. Policja odnajduje go w winnicach, w okolicy Montpellier, z koszykiem dojrzałych owoców w rękę; tym razem nietrudno było założyć mu kajdanki. Nie jest jasne, czy Nowski zbiegł do Berlina, czy został wydalony z Francji. Wiadomo natomiast, że współpracował wówczas z socjaldemokratyczną „Neue Zeitung” oraz „Leipziger Volkszeitung”, używając pseudonimów B.N. Dolski, Parabellum, Wiktor Twierdochlebow, Proletarski, N.L. Dawidowicz, i że między innymi napisał swój słynny komentarz do książki Maxa Schipella *Historia produkcji cukru*.

„Był”, pisze austriacki socjalista Oskar Blum, „dziwną mieszaniną amoralności, cynizmu i spontanicznego entuzjazmu dla idei, książek, muzyki, istot ludzkich. Czymś, powiedziałbym, między profesorem a bandytą. Lecz jego żywość intelektualna nie pozostawiała wątpliwości. Ten wirtuoz bolszewickiego dziennikarstwa potrafił prowadzić rozmowy tak pełne dynamit u, jak jego wstępy”. (To słowo nasuwa nam śmiałą myśl, że Blumowi mogły być znane tajemnice życia Nowskiego. Chyba że to przypadkowa metafora). W Berlinie, po wypowiedzeniu wojny, zmobilizowani robotnicy wyglądali jak widma, w kabaretach, pełnych dymu cygar, rozbrzmiewał wrzask kobiet, a mięso armatnie próbowało utopić w piwie i sznapsie swoje wątpliwości i rozpacz. Jedynie Nowski w tym europejskim domu wariatów nie tracił głowy i miał jasną wizję przyszłości, dodaje Blum.

Pewnego pogodnego jesiennego dnia, w salonie znanego sanatorium w Davos, gdzie leczył nadszarpnięte nerwy i chore płuca, Nowski je obiad z niejakim Lévine'em, członkiem Międzynarodówki, który go tutaj odwiedził. Przysiadają do nich doktor Grunwald, Szwajcar, uczeń i przyjaciel Junga, autorytet w swojej dziedzinie. Według wspomnianego Lévine'a, rozmawiano o pogodzie (słoneczny październik), o muzyce (w związku z niedawnym koncertem pewnej pacjentki), o śmierci (pacjentka wczoraj oddała swego muzycznego ducha). Pomiędzy mięsem a kompotem z pigw, które podaje kelner w liberii i białych rękawiczkach, doktor Grunwald gubi wątek rozmowy i aby przerwać przykre milczenie, mówi po swojemu, przez nos: „W Piotrogradzie wybuchła jakaś rewolucja”. (Cisza). Ręka Lévine'a z łyżeczką zastygła w powietrzu. Nowski drgnął, a potem sięgnął po cygaro. Doktor poczuł się nieswojo. Usiłując opanować drżenie, Nowski nadaje swemu głosowi jak największą obojętność: „Co proszę? A gdzie pan o tym słyszał?” Doktor Grunwald, jakby się usprawiedliwiał, mówi, że rano widział tę wiadomość na mieście, w witrynie agencji telegraficznej.

Nie czekając na kawę, Nowski i Lévine, śmiertelnie bladzi, opuszczają salon i jadą taksówką do miasta. „Jak w półśnie”, notuje Lévine, „docierał do mnie gwar salonu i brzęk srebrnych sztućców przypominający dzwonki. Widziałem jak przez mgłę świat, który został za nami i bezpowrotnie pograżał się w przeszłości jak w mętnej wodzie”.

Niektóre świadectwa wskazują, że wiadomość o zawieszeniu broni przyjął Nowski – na fali entuzjazmu narodowego i rozgoryczenia – mimo wszystko jako cios. Lévine mówi o jego załamaniu nerwowym, a Zinaida Michajłowna Majsner relacjonuje ten okres z pośpiechem współwinnej. A jednak Nowski bez większego oporu odłożył szybkostrzelnego mauzera. Na znak skruchy spalił podobno szkice swoich granatów zaczepnych i miotaczy płomieni o zasięgu jakichś siedemdziesięciu metrów, po czym przeszedł do szeregów internacjonalistów. Niemordowany, dwoił się i troił, toteż wkrótce można go było spotkać wśród zwolenników brzeskiego traktatu pokojowego. Rozdawał ulotki o treści antywojennej i z zapałem agitował wśród żołnierzy, stojąc na skrzyni z pociskami armatnimi, prosty jak posąg.

Wydaje się, że w tym szybkim i powiedzmy, bezbolesnym przeobrażeniu Nowskiego największą rolę odegrała kobieta. W kronikach rewolucji odnotowano jej nazwisko: Zinaida Michajłowna Majsner. Niejaki Lew Mikulin, który nieszczęśliwie się w niej zakochał, stworzył portret Zinaidy słowami jakby rzeźbionymi w marmurze: „Natura dała jej wszystko: inteligencję, talent, urodę”.

W lutym 1918 roku Nowski pojawiał się w urodzajnych okolicach Tuły, Tambowa, Orła i na brzegach Wołgi, skąd konwoje ze skonfiskowanym zbożem wyruszały do Moskwy. W czarnym skórzanym płaszczu komisarza, w błyszczących butach z cholewami i skórzanej czapce bez dystynkcji, czuwał nad konwojami, z ręką na mauzerze, aż do czasu, gdy ostatnia barka nikięła we mgle. W maju następnego roku wkłada maskujący mundur i zostaje wolnym strzelcem na tyłach armii Denikina. Niespodziewane, tajemnicze eksplozje na południowo-zachodnim odcinku frontu, zostawiające po sobie jatkę, miały stempel Nowskiego, tak jak manuskrypt nosi pieczęć mistrza.

Pod koniec września, na torpedowcu „Spartak” pod czerwoną banderą, Nowski wyrusza na rozpoznanie do Rawela. Niespodziewanie natyka się na groźną brytyjską eskadrę, złożoną z siedmiu lekkich okrętów, uzbrojonych w działka kalibru dwudziestu pięciu milimetrów. Torpedowiec zawraca; brawurowy manewr pod osłoną zapadającej nocy pozwala mu zawinąć do Kronsztadu. Jeśli wierzyć świadectwu kapitana Olimskiego, owo szczęśliwe wydostanie się z opałów załoga torpedowca zawdzięcza raczej sprytowi kobiety, Zinaidy Michajłowny Majsner, aniżeli Nowskiemu. To ona za pomocą sygnałówek prowadziła pertraktacje z brytyjskim okrętem flagowym.

List napisany w owych latach ręką Nowskiego pozostaje jedynym autentycznym świadectwem tej miłości, w której pasja rewolucyjna i żar zmysłów spletały się głębokimi, tajemnymi więzami.

„...Ledwie usiadłem w uniwersyteckiej ławie”, pisze Borys Dawidowicz, „już trafiłem do *tiurmy*. Więziony byłem dokładnie trzynaście razy. Z dwunastu lat po moim pierwszym aresztowaniu więcej niż połowę spędziłem na katordze. Trzy razy przemierzałem ciężką drogę wygnania, która zabrała mi trzy lata życia. W krótkich chwilach «wolności» przed moimi oczami przesuwwały się jak w kinie smutne rosyjskie wsie i miasta, a z nimi ludzie i zdarzenia, ja zaś wiecznie pędziłem, na koniu, na statku, na chłopskim wozie. Nie istnieje łożko, w którym bym sypiał dłużej niż miesiąc. Poznałem grozę rosyjskiej rzeczywistości podczas długich, przykrych zimowych wieczorów, gdy blade światła Wasiliewskiego Ostrowa ledwie pełgają, a wieś rosyjska w blasku księżyca jawi się w jakimś fałszywym, złudnym pięknie. Jedyną moją namiętnością był ten ciężki, tajemniczy i porywający zawód rewolucjonisty... Niech mi pani wybaczy, Zino, i nosi mnie w sercu. Będzie to uwierać, jak kamień w nerce”.

Uroczystość weselna odbyła się 27 grudnia 1919 roku na torpedowcu „Spartak”, stojącym w porcie kronsztadzkiem. Świadczenia są nieliczne i sprzeczne. Według jednych, Zinaida Michajłowna była śmiertelnie błada, „bładością, która śmierć zaślubia z pięknem” (Mikulin), i bardziej przypominała anarchistkę przed egzekucją niż żonę rewolucji, która cudem uniknęła śmierci. Mikulin mówi o białym weselnym wianku we włosach Zinaidy, jedynym znaku dawnych czasów i obyczajów, a Olimski, w swoich wspomnieniach, o białej gazie, która jak w eselny wianek okalała głowę rannej.

Tenże Olimski, bardziej obiektywny od skłonnego do zachwyków Mikulina (który – można powiedzieć – pomija Borysa Dawidowicza), sam kreśli wyraźnie schematyczny portret komisarza politycznego w tej intymnej chwili: „Z twarzą piękną, surową, ubrany nawet na tę uroczystą okazję jak mnich, bardziej przypominał niemieckiego studenta po zwycięskim pojedynku niż komisarza politycznego po niedawnej ostrej potyczce”. Co do innych szczegółów wszyscy są mniej więcej zgodni.

Okręt został naprędce przystrojony chorągiewkami i oświetlony żarówkami czerwonymi, zielonymi, niebieskimi, czerwonymi. Załoga, która świętowała jednocześnie wesele i zwycięstwo nad śmiercią, stawiała się na pokładzie świeżo ogolona i rumiana, pod bronią, jak na paradę. Depesze do sztabu generalnego, z meldunkiem o szczęśliwie zakończonej operacji, zwróciły tymczasem uwagę oficerów Czerwonej Floty, którzy oto pojawiają się w niebieskich szynelach, przywdzianych na białe letnie mundury. Torpedowiec wita ich gwizdkami i wiwatami załogi.

Zdyszany radiotelegrafista przynosi na mostek kapitański, gdzie schroniła się młoda para, niezaszyfrowane telegramy z życzeniami, nadawane ze wszystkich sowieckich portów od Astrachania po Enzelie: „Wiwat młodzi. Wiwat Czerwona Flota. Niech żyje dzielna załoga «Spartaka»!”. Rada Rewolucyjna Kronsztadu przysyła w opancerzonym samochodzie dziewięć skrzynek francuskiego szampana, dzień wcześniej, podobno, zarekwirowanego anarchistom. Orkiestra dęta kronsztadzkiego garnizonu marynarki wspina się na pokład po drabince linowej, grając marsze. Przy temperaturze minus trzydzieści stopni instrumenty mają dziwny, szklany dźwięk, jakby były zrobione z lodu. Wokół krążą motorówki i łodzie patrolowe, pozdrawiając załogę sygnałami. Trójki srogich czekistów, z dobytymi rewolwerami, trzykrotnie wdrapują się na pokład, żądając, by ze względów bezpieczeństwa przerwać zabawę. Na dźwięk nazwiska Nowskiego trzykrotnie chowają rewolwery i dołączają do chóru oficerów wołających: „Gorzko! Gorzko!” Puste butelki po szampanie śmigają nad pokładem jak kule kalibru dwudziestu pięciu milimetrów.

O wczesnym świcie, kiedy słońce w porannej zimowej mgle wygląda niby łuna dalekiego pożaru, pijany czekista wita narodziny nowego dnia salwą z działka przeciwlotniczego. Na pokładzie gęsto leżą marynarze jak nieżywi, na warstwach potłuczonego szkła, pustych butelek, konfetti i zamrożonego francuskiego szampana, czerwonego jak krew. (Czytelnik, przypuszczamy, rozpoznaje niezręczny liryzm Lwa Mikulina, ucznia imażynistów).

Wiadomo, że to małżeństwo rozpadło się po osiemnastu miesiącach i że Zinaida Michajłowna podczas pewnej nielegalnej podróży po Europie została towarzyszką sowieckiego dyplomaty A.D. Karamazowa. Co do krótkiego małżeństwa z Nowskim, niektóre świadectwa mówią o przykrych scenach zazdrości i namiętnych pojednaniach. Pogłoska, że Nowski w przystępie zazdrości miałby Zinaidę Michajłównę smagać pejczem, może być także tworem chorej wyobraźni zazdrosnego Mikulina. W autobiografii zatytułowanej *Fala za falą* Zinaida Majsner spisuje swoje intymne wspomnienia jakby na wodzie: bat pojawia się tu jedynie w kontekście historycznym i metaforycznym, jako knut, który bezlitośnie smaga naród rosyjski.

(Zinaida Michajłowna Majsner zmarła na malarię w sierpniu 1926 roku, w Persji. Nie miała jeszcze trzydziestu lat).

Jak wspomnieliśmy, dokładne ustalenie chronologii życia Nowskiego podczas wojny domowej i w latach bezpośrednio po niej nie jest możliwe. Wiadomo, że w roku 1920 walczył z butnymi i despotycznymi emirami w Turkestanie; zostali wówczas poskromieni własną bronią: okrucieństwem oraz przebiegłością. Upalnego lata 1921 – zapisanego w annałach przede wszystkim z powodu inwazji komarów roznoszących malarię i much-ścierwic, których roje zlatują się do krwi – zajmował się likwidacją bandytyzmu w okolicach Tambowa. Został tam zraniony szabłą albo nożem, co nadało jego twarzy znamię surowego bohaterstwa. Na Kongresie Ludów Wschodu można go było zauważyć za stołem prezydyjnym; z nieodłącznym papierosem w pozólkłych zębach, wyglądał jak nieobecny. Jego przemówienie przyjęto oklaskami, ale jeden ze sprawozdawców dostrzegł brak entuzjazmu i zgaszone spojrzenie tego, którego kiedyś nazywano bolszewickim Hamletem.

Wiadomo także, iż przez pewien czas był komisarzem ludowym marynarki w rejonie kaukasko-kaspijskim, oficerem sztabowym korpusu artyleryjskiego Armii Czerwonej, a następnie dyplomatą w Afganistanie i Estonii. Pod koniec roku 1924 pojawia się w Londynie jako członek delegacji pertraktującej z wiecznie nieufnymi Anglikami. Przy tej okazji, z własnej inicjatywy, nawiązuje kontakt z przedstawicielami związków zawodowych; zostaje zaproszony na następny ich zjazd, który ma się odbyć w Hull.

W Kazachstanie, w Centrali Łączności i Komunikacji, na ostatnim stanowisku, o jakim nam wiadomo, podobno piekielnie się nudził. W swoim biurze zaczął od nowa sporządzać plany i kalkulacje. Bomba wielkości orzecha, powodująca straszliwe zniszczenie, pasjonowała go widocznie do końca życia.

Borys Dawidowicz Nowski, delegat Ludowego Komisariatu Łączności i Komunikacji, został aresztowany w Kazachstanie, 23 grudnia 1930 roku, o godzinie drugiej po północy. Jego aresztowanie miało znacznie spokojniejszy przebieg, niż podawały relacje rozpowszechniane na Zachodzie. Według wiarygodnego zeznania jego siostry, nie było przy tej okazji zbrojnego oporu ani duszenia na schodach. Nowskiego poproszono telefonicznie, by szybko stawiał się w centrali. Głos należał niewątpliwie do dyżurnego inżyniera Butenki. Po rewizji, która trwała do ósmej rano, zabrano wszystkie jego dokumenty, fotografie, rękopisy, szkice i plany, a także większość książek. Był to pierwszy krok do unicestwienia Nowskiego. Według ostatnich danych, pochodzących od A.L. Rubiny, jego siostry, sprawa potoczyła się w następujący sposób:

Nowskiego skonfrontowano z niejakim Reinholdem, J.S. Reinholdem, który przyznał się, że szpiegował na rzecz Anglików i z ich polecenia dokonywał sabotaży gospodarczych. Nowski pozostał przy swoim stanowisku, że nie zna i nigdy przedtem nie widział tego nieszczęśliwego człowieka o załamującym się głosie i zgaszonym spojrzeniu. Po piętnastu dniach, danych mu do namysłu, ponownie wezwano go przed sędziego, poczęstowano kanapkami i papierosem. Nowski odmówił, poprosił natomiast o papier i ołówek, by mógł zwrócić się do pewnych ludzi na górze. Nazajutrz o świcie został wyprowadzony z celi i skierowany do Suzdału. Kiedy tego mroźnego styczniowego ranka samochód z Nowskim zajechał na dworzec, na peronie nie było żywej duszy. Daleko na bocznicę stał jeden jedyny wagon towarowy, do którego zaprowadzono Borysa Dawidowicza.

Sędzia śledczy Fiediukin, wysoki, dziobaty, nieugięty, spędził w tym wagonie jakieś pięć godzin sam na sam z Nowskim (drzwi były zaryglowane od zewnątrz), usiłując go przekonać, że przyznanie się do winy to obowiązek. Jego wysiłki skończyły się jednak fiaskiem. Potem przyszedły długie noce bez dni, w więzieniu suzdalskim, w pojedynce, wilgotnej i zimnej kamiennej celi, zwanej psiarnią. Jej główna wartość architektoniczna polegała na tym, że człowiek czuł się tu jak zamurowany żywcem, a swoje istnienie na tej ziemi, w porównaniu z wiecznością kamienia i trwania, przyjmował jako pyłek w oceanie bezczasowości.

Nowski był człowiekiem o nadszarpniętym zdrowiu; długie lata katorgi i rewolucyjny entuzjazm, który karmi się krwią i gruczołami, nadwątlili mu płuca, nerki, stawy. Jego ciało pokrywały czyraki, pękające pod uderzeniami gumowych pałek; wraz ze szkodliwą ropą wypływała z nich zbawienna krew. Wydaje się jednak, że z zetknięcia z kamieniem swego grobowca za życia Borys Dawidowicz wyciągnął pewien metafizyczny wniosek, którego architekci psiarni nie mogli przewidzieć: nic za nic. Człowiek, który odnalazł w sercu tę heretycką, niebezpieczną myśl o daremności własnego trwania, ponownie staje przed (ostatnim) dylematem: pogodzić się z tymczasowością trwania w imię owej cennej, drogo okupionej myśli (która wyklucza wszelką moralność i oznacza wobec tego absolutną wolność) czy poddać się w imię tej samej myśli uściskowi nicości.

Złamanie Nowskiego stało się dla Fiediukina punktem honoru i największą pokusą. W długiej karierze śledczego udawało mu się dotychczas poprzez łamanie kręgosłupa łamać również wolę najniezłomniejszych – dlatego właśnie dawano mu zawsze najtwardszy materiał. Nowski stanął przed nim niby rodzaj zagadki naukowej, nieznanym organizm, który funkcjonuje w sposób zupełnie nieprzewidywalny i nietypowy; z czymś podobnym Fiediukin nie zetknął się w całej swojej praktyce. (W tych godnych podziwu spekulacjach, ze względu na jego bardziej niż skromne wykształcenie, nie było nic książkowego, i w związku z tym wymykała mu się wszelka refleksja o sprawach ostatecznych. Zapewne czuł się tylko inicjatorem doktryny, którą formułował całkiem prosto i zrozumiale dla każdego: „Nawet kamień przemówi, jeżeli wybije mu się zęby”)⁸.

⁸ Czasopismo „Trud” opublikowało fragmenty pamiętników Fiediukina pod tytułem *Drugi front* (numery z sierpnia i listopada 1964 roku). Ów autobiograficzny *oczek* obejmuje tylko najwcześniejszy okres „działalności na zapleczu”, ale sądząc z tego materiału, w którym obraz żywej praktyki zastępują schematyczne rozważania, obawiam się, że nawet publikacja całości nie odkryje tajemnicy geniuszu Fiediukina: poza żywą praktyką był on chyba teoretycznym zerem. Przyznanie się do winy wymuszał według wszelkich praw psychologii głębi, nie wiedząc, że taka istnieje. Zajmował się więc duszą ludzką i jej tajemnicami, nieświadom, że to robi. We wspomnieniach Fiediukina jedno zwraca uwagę: opisy przyrody. Surowe piękno syberyjskich krajobrazów, wschód słońca nad zamarzniętą tundrą, dyluwialne deszcze i zdradliwe wody przecinające tajgę, cisza dalekich jezior koloru stali – wszystko to świadczy o jego niewątpliwych zdolnościach literackich.

W nocy z 28 na 29 stycznia wyprowadzono z celi człowieka, który wciąż jeszcze nazywał się Nowski, chociaż był to już pusty kokon istoty ludzkiej, umęczone, gnijące ciało. Ze zgaszonych oczu Nowskiego jako jedyną oznakę duszy i życia można było wyczytać decyzję wytrwania, zapisania ostatniej kartki własnej biografii zgodnie ze swoją wolą i z pełną świadomością, tak jak się pisze testament. Tę myśl sformułował następująco: „Osiągnąłem wiek dojrzały, dlaczego bym miał zepsuć swoją biografię?”. Musiał zatem zrozumieć, że czekające go ostatnie doświadczenie to nie tylko końcowa kartka autobiografii, którą pisał przez blisko czterdzieści lat świadomego życia swoim mózgiem i krwią, ale że jest to właściwie suma jego życia, konkluzja, na której wszystko się zasadza, a cała reszta to jedynie dodatkowy dyskurs, rachunek o znikomej wartości w zestawieniu z ostateczną formułą, nadającą sens podrzędnym operacjom.

Dwaj strażnicy, podtrzymując Nowskiego z obu stron, sprowadzili go po ciemnych, okropnie stromych schodach na trzecią, najniższą kondygnację więziennych piwnic. Pomieszczenie, w którym się znalazł, oświetlała zwisająca z sufitu żarówka, bez osłony. Strażnicy puścili go i Nowski się zachwiał. Słyszał, jak zatrzasnęły się za nim żelazne drzwi, ale jeszcze nic do niego nie docierało prócz światła, które boleśnie wrzynało się w jego świadomość. Wkrótce drzwi się otworzyły. Ci sami strażnicy, tym razem prowadzeni przez Fiediukina, weszli z młodym mężczyzną i ustawili go metr od Nowskiego. Nowski pomyślał, że znowu chodzi o jakąś prowokacyjną konfrontację, jedną z wielu. Mocno zacisnął bezzębne szczęki i z bolesnym wysiłkiem rozwarł opuchnięte powieki.

Spodziewał się, że zobaczy trupa ze zgaszonymi oczyma (jakim był Reinhold), ale ze zgrozą, równą niemal przeczuciu, ujrzał przed sobą młode, żywe oczy, wypełnione strachem ludzkim, zupełnie ludzkim. Chłopak był nagi do pasa. Ze zdumieniem i z lękiem Nowski zauważył, że na jego muskularnym ciele nie ma ani jednego sińca, ani jednej rany, a śniada skóra jest zdrowa, nie naruszona jeszcze przez piwniczną zgniliznę. Najbardziej jednak zdumiało go i przeraziło nieodgadnione spojrzenie tego chłopca, tajemna gra, w jaką został wciągnięty teraz, kiedy już myślał, że wszystko skończyło się w możliwie najlepszy sposób. Czy mógł przeczuwać, co mu gotuje genialna i piekielna intuicja Fiediukina?

Śledczy stał za jego plecami, niewidoczny, ale obecny, bez słowa, z zapartym tchem oczekując, że Nowski sam się domyśli, że przerazi się tą myślą, a kiedy wątpliwość zrodzona z przerażenia podszeptnie, że to niemożliwe, w tej właśnie chwili Fiediukin rzuci mu prawdę w oczy, prawdę cięższą od zbawiennej kuli, którą mógłby strzelić w tył jego głowy.

Kiedy wątpliwość zrodzona z przerażenia podszeptnęła Nowskiemu, że to niemożliwe, w tej właśnie chwili usłyszał głos Fiediukina: „Jeżeli Nowski się nie przyzna, zabijemy cię!”. Twarz młodego mężczyzny wykrzywił strach. Upadł przed Nowskim na kolana. Borys Dawidowicz zamknął oczy, ale z powodu kajdan nie mógł zatkać uszu, by nie słyszeć zaklęć chłopaka, które nagle, jakby cudem, zaczęły kruszyć twarde fundament jego decyzji, osłabiać wolę. Drżącym, złamanym głosem chłopak błagał Nowskiego, by się przyznał w imię jego życia. Borys Dawidowicz usłyszał, że strażnicy odbezpieczają rewolwery.

Za mocno zaciśniętymi powiekami, wraz z bólem i przeczuciem klęski, pojawiła się w Nowskim nienawiść. Miał bowiem dosyć czasu, by to przemyśleć i pojąć, że Fiediukin go przejrzał i postanowił złamać tam, gdzie czuł się najmocniejszy: w jego samolubstwie. Bo jeżeli on (Nowski) wpadł na zbawienną i niebezpieczną myśl o daremności swoich cierpień i trwania, oznacza to jeszcze ciągle wybór moralny. Fiediukin wyczuł to dzięki swojej genialnej intuicji.

Rewolwery musiały mieć tłumiki, gdyż Nowski ledwie słyszał strzały. Kiedy otworzył oczy, chłopak leżał przed nim we krwi, z roztrzaskaną czaszką.

Fiediukin nie rzuca zbędnych słów, on wie, że Nowski zrozumiał. Daje znak strażnikom, by wyprowadzili więźnia, strażnicy biorą go pod ręce. Śledczy pozostawia mu dwadzieścia cztery godziny do namysłu w pilnie strzeżonej celi, gdzie będzie mógł ponownie, „pod kamiennym całunem”⁹, umocnić swą postawę i usłyszeć demoniczny głos szepczący do ucha, że jego biografia jest skończona i doskonała, nieskazitelna jak posąg bez jednej rysy.

Nazajutrz, w nocy z 29 na 30 stycznia, scena się powtarza, strażnicy sprowadzają Nowskiego zawrotną spiralą schodów do głębokich więziennych piwnic. Nowski pojmuje ze zgrozą, że to powtórzenie, nieprzypadkowe, jest częścią piekielnego planu: każdy dzień jego życia będzie okupiony życiem innego człowieka. Doskonałość jego biografii zostanie zniszczona, dzieło życia (jego życie) będzie na tych ostatnich kartach zeszepeczone.

⁹ Słowa Lwa Mikulina, dzięki którym uwiecznił on, chyba w roku 1936, własną biografię. Metafora okazała się mniej dowolna, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka: Mikulin zmarł na zawał w izolatce suzdalskiego więzienia. (Niektóre źródła podają, że został uduszony).

Reżyseria Fiediuquina jest znakomita: scenografia ta sama co poprzedniej nocy, ci sami strażnicy, ten sam Fiediuquin, ta sama piwnica, to samo oświetlenie, ten sam Nowski – elementy wystarczające, by powtórzenie uświadamiało oczywistą identyczność oraz nieuchronność, jak nieuchronne jest następstwo nocy i dnia. Trochę inny wydaje się tylko młody człowiek (inny tak, jak inne są dwa kolejne dni w tej samej celi), choć też nagi do pasa, drży przed oczami Nowskiego. W ciszy, która zapadła na moment, Fiediuquin z pewnością wyczuwa, o ile dzisiejsza próba cięższa jest dla Nowskiego od wczorajszej. Stojąc tak oko w oko z nieznanym, nie może mieć nawet krzty nadziei i pociechy w myśli, która wbrew pewnym niedwuznacznym oznakom zewnętrznym, mogłaby mu podszepnąć: to niemożliwe. Wczorajszy pokaz, szybki i skuteczny, dowiódł, że taka myśl jest daremna i niebezpieczna. (Jutro i pojutrze, i za trzy albo za dziesięć dni, ta myśl stanie się jeszcze bardziej bezsensowna, całkiem nierealna).

Nowskiemu wydało się, że skądś zna stojącego przed nim chłopaka. Miał białą skórę z niezdrowym odcieniem, usianą piegami, gęste, ciemne włosy i oczy jakby lekko zezowate. Przypuszczalnie nosił okulary – Nowski dostrzega jakby odcisnięty u nasady jego nosa ślad oprawki. Myśl, że ten chłopak przypomina jego samego sprzed dwudziestu lat, wydała mu się pozbawiona sensu, próbował ją odrzucić. Błyskawicznie przemknęło mu przez głowę, że to podobieństwo (jeżeli jest celowe i prawdziwe) może się okazać niebezpieczne dla śledztwa, a w takim razie byłby to błąd i pomyłka reżyserska Fiediukina. Jeżeli jednak owo podobieństwo stanowi owoc starannej selekcji, znaczy to, że Fiediukin najprawdopodobniej wyczuł, iż myśl o identyczności musi jednocześnie zwrócić uwagę Nowskiego na istotne różnice. Musi po prostu wskazać fakt, że zabija on ludzi podobnych do siebie samego, ludzi, którzy noszą w sobie załączek przyszłej biografii, konsekwentnej, doskonałej, tak przypominającej jego życiorys, ale przerwanej, jak się to mówi, w zarodku, zniszczonej z jego własnej winy. Wskutek uporczywej odmowy współpracy w śledztwie Borys Dawidowicz spowoduje (już powoduje!) długi szereg zbrodni, poczynionych w jego imieniu.

Nowski czuje za plecami Fiediukina, który z zapartym tchem śledzi jego myśli, czyha na jego decyzję. Czuje też niewidoczną obecność strażników, którzy stoją z boku, z odbezpieczonymi rewolwerami, gotowi do popełnienia zbrodni jego ręką. Głos Fiediukina zabrzmiał spokojnie, nie jak groźba, lecz jak krótki komunikat o wynikach całkiem logicznej operacji: „Umrzesz, Isajewiczu, jeżeli Nowski się przyzna”.

Zanim Borys Dawidowicz zdążył cokolwiek powiedzieć, cokolwiek postanowić, pomyśleć o haniebnych warunkach ewentualnej kapitulacji, chłopak zmierzył go spojrzeniem krótkowidza całkiem z bliska, stojąc z nim właściwie oko w oko, i szepnął głosem, od którego Nowski zdrzął:

„Borysie Dawidowiczu, nie dajcie się sukinsynom!”

W tej samej chwili padły dwa strzały, niemal jednocześnie, ledwo słyszalne, jakby ktoś wyciągnął korki z butelek szampana. Nowski nie mógł nie podnieść mocno zaciśniętych powiek, by przekonać się o prawdziwości swojej zbrodni. Strażnicy także tym razem strzelali w czaszkę; twarz młodego człowieka była nie do rozpoznania.

Fiediukin opuszcza piwnicę bez słowa, a strażnicy odprowadzają Nowskiego i rzucają na kamienną podłogę. Nowski spędza w celi koszarne godziny, ze szczurami.

Nazajutrz wieczorem, po trzeciej zmianie straży, decyduje się stanąć przed śledczym.

Tej samej nocy zostaje przeniesiony z kamiennej celi do szpitala więziennego. Spędza tam dziesięć dni jak w malignie, pod czujnym okiem strażnika i personelu szpitalnego, któremu z tych pożałowania godnych szczątków polecono stworzyć człowieka zasługującego na to miano. Fiediukin na pewno wie z doświadczenia, że nawet ludzie ulepieni z mniej twardej gliny niż Nowski zyskują nieprzewidywalną siłę w chwili, gdy zostaną przekroczone wszelkie granice, i pozostaje tylko kwestia honorowej śmierci. Próbują wtedy wyciągnąć ze śmierci możliwie największą korzyść swoją upartą decyzją, która najczęściej, chyba z powodu wyczerpania fizycznego, oznacza heroiczne milczenie. Z praktyki wie także to, że przywrócenie normalnego funkcjonowania organizmu, normalnego krążenia i brak bólu wytwarzają u rekonwalescentów i byłych kandydatów do śmierci jakiś organiczny konformizm, który powoduje, jakkolwiek wygląda to paradoksalnie, osłabienie woli i coraz mniejszą potrzebę popisywania się bohaterstwem.

Po nieudanej konfrontacji z Reinholdem zrezygnowano z oskarżenia Nowskiego o przynależność do siatki szpiegowskiej, działającej na rzecz Anglików. (Przyczyniły się do tego również angielskie związki zawodowe, które po aresztowaniu Nowskiego podniosły w prasie europejskiej wielką wrzawę; za całkowicie bezpodstawne i bezsensowne uznały oskarżenia, jakie tymczasem pojawiły się w oficjalnej prasie. Berlińskie spotkanie z niejakim Richardsem, który rzekomo kupił Nowskiego za trzydzieści srebrników, zostało przekreślone przez niezbite alibi rzeczonoego Richardsa: tego dnia był on na zjeździe związków w Hull).

Owa nieszczęsna interwencja angielskich związków zawodowych postawiła przed śledczym niełatwe zadanie udowodnienia słuszności wysuwanych twierdzeń, w przeciwnym bowiem razie mogłaby zostać naruszona jego reputacja na znacznie szerszym, międzynarodowym planie. Trzeba było naprawić, co się naprawić dało.

Od 8 do 21 lutego trwają układy. Nowski utrudnia śledztwo, usiłując do dokumentu swego przyznania się do winy – z pewnością jedyne, jaki pozostanie po jego śmierci – wnieść pewne sformułowania. Chodzi o takie, które by mogły nie tylko złagodzić jego ostateczny upadek, ale dzięki zręcznie wplecionym sprzecznościom i przesadzie podszeptać przyszłemu badaczowi, że wszystko to zbudowano na kłamstwie, wymuszonym niewątpliwie torturami. Z niespodziewaną siłą Borys Dawidowicz walczy o każde słowo, każde sformułowanie.

Fiediukin ze swej strony, nie mniej zdeterminowany i ostrożny, stawia maksymalne żądania. Przez długie noce zmagają się z tym trudnym tekstem dwaj mężczyźni, zdyszani i wyczerpani, pochyleni nad kartkami papieru w gęstym dymie papierosów, a każdy z nich usiłuje do owego dokumentu wprowadzić coś ze swoich pasji, przekonań, swojego widzenia spraw w ich wyższym wymiarze. Fiediukin z pewnością wie równie dobrze jak Nowski (i daje mu to do zrozumienia), że zeznanie, cały ten tekst na dziesięciu gęsto zapisanych kartkach, to najzwyczajniejsza fikcja; on sam ją skomponował w długie nocne godziny, niezgrabnie, powoli stukając na maszynie dwoma palcami (bo wszystko lubił robić sam) i usiłując na podstawie pewnych hipotez formułować logiczne wnioski. Nie interesowały go tak zwane fakty ani tak zwane charaktery, tylko te hipotezy i ich logiczne funkcjonowanie. Powody, jakimi się kierował, można by ostatecznie sprowadzić do tych samych, jakie miał Nowski, kiedy wychodząc od innego schematu, idealnego i wyidealizowanego, z góry odrzucał wszelkie hipotezy.

Wierzę, że obaj działali w końcu z pobudek wyższych od osobistych, wąskich celów. Nowski walczył o to, by w swojej śmierci, w swoim upadku, zachować godność nie tylko własną, ale postaci rewolucjonisty w ogóle. Fiediukin natomiast, przy całej swojej skłonności do fikcji i hipotez, usiłował zachować bezwzględność i wierność sprawiedliwości rewolucyjnej oraz tym, którzy ją wymierzają. Albowiem lepiej, by ucierpiała tak zwana prawda jednego człowieka, jednego znikomego organizmu, niżby z jego powodu miano kwestionować wyższe zasady i interesy. Jeżeli później Fiediukin rzucał się na swoje uparte ofiary, nie była to mania człowieka nerwowo chorego i kokainisty, jak sądzą niektórzy, lecz walka o własne przekonania, które podobnie jak jego ofiara, uważał za bezinteresowne, nienaruszalne i święte. Największą złość i lojalną nienawiść budziło w nim właśnie chorobliwe sobkostwo oskarżonych, ich patologiczna potrzeba udowodnienia swojej niewinności, swojej własnej małej prawdy, nerwowe wałkowanie tak zwanych faktów, zamkniętych we własnej twardej głowie. Tej ich ślepej prawdy nie można było włączyć do systemu wyższych wartości, wyższej sprawiedliwości, która wymaga ofiar oraz nie liczy się i nie śmie się liczyć z ludzkimi słabościami.

Śmiertelnym wrogiem stawał się dla Fiediukina każdy, kto nie potrafił zrozumieć prostego, gołym okiem widocznego faktu, że przyznanie się do winy w imię obowiązku jest nie tylko logiczne, lecz także moralne, a więc godne szacunku. Przypadek Nowskiego okazał się dla Fiediukina katastrofalny tym bardziej, że śledczy cenił Borysa Dawidowicza jako rewolucjonistę, który jeszcze przed dziesięciu laty był mu wzorem. Tamtego dnia w wagonie towarowym na bocznym torze stacji w Suzdalu, bez względu na okoliczności, podszedł do niego z należnym szacunkiem i zaufaniem. Rozczarował się jednak, gdyż Nowski całkowicie zniszczył w jego oczach mit rewolucjonisty, nie mogąc niczego zrozumieć; egoizm (wyhodowany zapewne na gruncie pochwał i pochlebstw) był w nim silniejszy niż poczucie obowiązku.

Pewnego wczesnego ranka, pod koniec lutego, Borys Dawidowicz wraca do celi wyczerpany, ale zadowolony, ze zredagowanym tekstem przyznania się do winy, którego ma się nauczyć na pamięć. Rękopis jest poprzerabiany, upstrzony poprawkami naniesionymi atramentem czerwonym jak krew. Nowski uważa, iż przyznał się do winy tak ciężkiej, że nie zdoła uniknąć kary śmierci. Uśmiecha się albo mu się tylko tak wydaje – Fiediukin spełnił jego skryty zamiar, przygotował ostatni rozdział uczciwego życiorysu. Pod wystygłym popiołem bezsensownych oskarżeń przyszli badacze odkryją patos jego życia i (mimo wszystko) konsekwentny koniec doskonałej biografii.

Akt oskarżenia został ostatecznie zredagowany 27 lutego, proces grupy sabotażystów był przewidziany na połowę marca. Na początku maja, po długiej zwłoce, dochodzi do nagłej, nieoczekiwanej zmiany w biegu śledztwa. Nowskiego, z nauczonym na pamięć tekstem, strażnicy prowadzą do kancelarii Fiediukina. Fiediukin oświadcza, że akt oskarżenia zmieniono, i daje mu nowy tekst, napisany na maszynie.

Nowski czytał nowy akt oskarżenia, stojąc między dwoma strażnikami. Nagle zawył lub tylko wydało mu się, że zawył. Zawleczono go ponownie do psiarni i zostawiono na trzy dni ze spasionymi szczurami. Próbował rozbić sobie głowę o kamienną ścianę. Nałożono mu kaftan bezpieczeństwa skrojony z solidnej tkaniny i odprowadzono do celi szpitalnej. Otrząsnąwszy się z zamroczenia wywołanego najprawdopodobniej zastrzykami morfiny, zażądał widzenia ze śledczym.

Prowadząc równoległe parę śledztw, Fiediukin zdołał tymczasem wymusić stosowne zeznania z niejakiego Pariesjana. Wyłącznie pod presją gróźb i obietnic (niewykluczone, że nadto pod wpływem kieliszka czy dwóch) człowiek ten podpisał oświadczenie stwierdzające, że pierwszą kwotę osobiście wręczył Nowskiemu już w maju 1925 roku, kiedy pracowali razem w nowosybirskiej fabryce kabli. Pieniądze te stanowiły część stałej sumy, którą otrzymywali co kwartał z Berlina jako wynagrodzenie za korzystne kontrakty, załatwiane przez Nowskiego z udziałem Pariesjana i Titelheima dla zagranicznych firm, przede wszystkim niemieckich i angielskich.

Titelheim, człowiek dawnej daty, o niedzisiejszych poglądach, z białą kosią bródką i w binoklach, ani rusz nie potrafił pojąć, dlaczego w swoim zeznaniu miałby wymieniać innych ludzi, których nawet nie zna. Fiediukin jednak szybko znalazł sposób, żeby go przekonać: po długim oporze stary Titelheim, zdecydowany umrzeć honorową śmiercią, usłyszał z sąsiedniej celi rozpaczliwe krzyki i rozpoznał głos swojej jedynej córki. Za obietnicę, że jej życie zostanie oszczędzone, zgodził się na wszystkie warunki Fiediukina i podpisał protokół, nawet go nie przeczytał. (Musiały minąć lata, by wyszła na jaw prawda o rodzinie Titelheimów. W jednym z obozów przejściowych starzec przypadkiem dowiedział się od łagiernicy nazwiskiem Ginzburg, że córkę zamordowano w więziennej piwnicy już podczas śledztwa w jego sprawie).

W połowie maja dochodzi do konfrontacji między Nowskim a tymi dwoma. Nowskiemu wydaje się, że od Pariesjana zalatuje wódką; język mu się płacze, kiedy słabą ruszczyzną podaje mnóstwo fantastycznych szczegółów o ich wieloletniej współpracy. Szczera złość Pariesjana wskazuje, że w jego wypadku Fiediukin ze swą umiejętnością wyciskania zeznań osiągnął idealny poziom współpracy, stanowiący cel każdego skutecznego śledztwa: Pariesjan, z pewnością dzięki geniuszowi twórczemu Fiediukina, hipotezy wziął za rzeczywistość, bardziej realną niż mgła faktów, i nadał im zabarwienie emocjonalne swoją nienawiścią i skrucą.

Inżynier Titelheim, nieobecny duchem, ze spojrzeniem zwróconym ku dalekiemu, martwemu światu, nie może sobie przypomnieć szczegółów przedstawionych w podpisanym przez siebie protokole i Fiediukin czuje się zmuszony pouczyć go surowo o zasadach dobrego zachowania. Titelheim powoli przypomina sobie sumy, podaje cyfry, miejsca i daty. Nowski czuje, że traci ostatnią szansę ratunku i że Fiediukin zgotował mu najhaniebniejszy rodzaj śmierci: umrze jako przestępca, który zaprzedał własną duszę jak Judasz, za trzydzieści srebrników. (Zapewne na zawsze pozostanie tajemnicą, czy była to tylko część planu Fiediukina, ukuta w celu pozyskania współpracy Nowskiego, czy do ponownej zmiany aktu oskarżenia przyczynił się ten, który nie chciał umrzeć haniebną śmiercią).

Późnym wieczorem, po konfrontacji, Nowski znowu próbuje popełnić samobójstwo i uratować w ten sposób część legendy. Czujne oczy i psi słuch strażników chwytają jednak podejrzone szmery, być może westchnienia ulgi w celi umierającego. Z otwartymi żyłami włoką Nowskiego do celi szpitalnej, gdzie uparcie zrywa bandaż. Muszą go sztucznie odżywiać, i jest to następny krok do ostatecznego unicestwienia.

Fiediukin ustępuje wreszcie przed tym niespotykanym uporem i (na podstawie wcześniejszego aktu oskarżenia) ustanawia Nowskiego przywódcą grupy spiskowej. Konfrontowany osobno z każdym z przyszłych aktywnych sabotażystów z namaszczenia Fiediukina, Nowski – choć martwymi astygmatycznymi oczami wpatrzony w pustkę – w niektórych wystraszonych, nieznanym ludziach rozpoznaje tych, z którymi „kuł zuchwałę plany wysadzenia w powietrze urzędzeń o żywotnym znaczeniu dla przemysłu zbrojeniowego”. Dodaje przy tym szczegóły z wyuczonego na pamięć scenariusza. Fiediukin, który nareszcie odkrywa w Nowskim pożytecznego i zręcznego współpracownika, pozostawia jego inteligencji wygładzenie pewnych sprzeczności i niekonsekwencji, pojawiających się w skomplikowanym tekście. (Borys Dawidowicz wykorzystuje przy tym swoje wieloletnie doświadczenia, zdobyte na katordze carskiej i w zmaganiach z ostrożnymi prokuratorami).

Spokojny tok owej współpracy załamał się jedyny raz, pod koniec maja, podczas konfrontacji z niejakim Rabinowiczem. I.I. Rabinowicz od wczesnych lat w Pawłogradzie był dla Nowskiego kimś w rodzaju duchowego mentora, człowiekiem, który jako inżynier i fachowiec odkrył jego talent i wprowadził go w tajniki sporządzania materiałów wybuchowych. W niesystematycznych, ale świetnych studiach Nowskiego Izaak Rabinowicz odegrał wieloraką rolę: nie tylko dawał mu rady i literaturę fachową (techniczną), lecz także nieraz ratował go dzięki swojej interwencji i autorytetowi oraz wysokim kaucjom, jakie składał u prokuratora. (Piekielne skutki eksplozji, które wstrząsnęły Petersburgiem około roku 1910, wzbudziły raczej uzasadnione wątpliwości starego Rabinowicza i spowodowały, że na pewien czas odsunął się od nazbyt utalentowanego ucznia).

Za wielkie przysługi, jakie mu oddał, a także ze szczerego szacunku, Nowski zdołał się odwdziżyć podczas wojny domowej: wyrwał go z rąk gorliwych czekistów, którzy upatrywali w Rabinowiczu potencjalnego zamachowca, a jego znajomość materiałów wybuchowych budziła w nich głęboką nieufność. Wydaje się, że to, co łączyło Nowskiego z Rabinowiczem, miało jednak przede wszystkim charakter emocjonalny – odwieczna historia o wyidealizowanym ojcu i dostrzeżeniu przedmiotu skrytych marzeń w osobie młodego człowieka, w którym odnajduje się swoje własne cechy.

Nowski odmawia podpisania oskarżeń dotyczących Rabinowicza. (Obecność Rabinowicza w akcie oskarżenia miała dla śledztwa pierwszorzędne znaczenie ze względu na jego profil – pochodzenie, rasę, środowisko). Fiediukin ucieka się wtedy do ostatecznego środka: wyjmuje z szuflady biurka protokół zeznań Pariesjana i Titelheima; ostatnio wzbogacił go jeszcze o nowe szczegóły i zeznania trzech uczestników tego, co nazywało się wielką grabieżą państwowych pieniędzy. Wszyscy trzej wskazali Nowskiego jako inspiratora i szczegółowo opisywali jego charakter, w którym rewolucyjny zapał sprowadza się do bezwzględnej żądzy bogactw, a legendarna asceza stanowi chytrą, chwilami komiczną maskę. Niektóre zeznania dotyczyły wczesnych przygód Nowskiego w Paryżu i Petersburgu. Zawierały wyraźne aluzje do światowego życia młodego rewolucjonisty, który swoje słynne kapelusze i czerwone kamizelki bez wątplenia kupował za pieniądze pochodzące z sekretnych funduszy ochrony.

Nowski pojmuje, że nie ma wyboru. W zamian za przysługę Fiediukina podpisuje zeznanie stwierdzające, że profesor Rabinowicz współpracował z nim przy sporządzaniu materiałów wybuchowych. Szczegóły o rodzajach szrapneli oraz detonatorów, o niszczycielskiej sile prochu, dynamitu, gazu i trotylu, o sposobie i miejscu produkcji maszyn piekielnych oraz ich działaniu w określonych warunkach Nowski sam dyktuje do protokołu. W nagrodę, na jego oczach, Fiediukin pali w dużym żelaznym piecu teraz już niepotrzebne kompromitujące zeznania o grupie złodziei i spekulantów.

Rozprawa przeciwko dwudziestu sabotażystom odbyła się przy drzwiach zamkniętych, w połowie kwietnia. Zdaniem niejakiego Snasierowa, Nowski, chociaż chwilami nieobecny duchem, mówił z zapałem, który ów człowiek przypisuje wysokiej gorączce. „Było to jego najlepsze przemówienie polityczne, jakie znam”, dodaje Snasierow nie bez złośliwości (robiąc wyraźną aluzję do fałszywych pogłosek, wedle których Borys Dawidowicz miał być słabym mówcą – pierwszy znak zwiastujący obalenie mitu zwanego Nowski). Drugi uczestnik rozprawy, który przeżył (Kaurin), przyznał, że Nowski mimo okrutnych tortur podczas długich miesięcy śledztwa nie stracił nic z żywości umysłu, „która nas wszystkich pogrzebała”. „Kiedyś był to człowiek żwawy, o bystrych oczach, teraz miał zapadnięte policzki, głębokie oczodoły, powłóczył nogami i czasem wydawał się nieprzytomny. Przypominał widmo, ale nie swoje. Dopiero gdy zaczął mówić, znowu stawał się diabłem, a nie człowiekiem”.

Trzeba jednak przyznać, że rolę Nowskiego w znacznym stopniu określiły angielskie związki zawodowe i prasa emigracyjna, twierdząc, że wśród postaci tego procesu kryją się prowokatorzy nie mający nic wspólnego z rewolucjonistami. Zabójczą siłą swojej wymowy skierował zatem Nowski w tę stronę. W porywie szczerego gniewu usiłował obalić argumenty mienszewików i związkowców, które by mogły sprowadzić jego biografię i jego koniec właśnie do tego, czego najbardziej się obawiał i z powodu czego przez tyle miesięcy prowadził krwawą walkę na śmierć i życie.

Prokurator generalny W.N. Kriczenko, mistrz wielkich procesów, zażądał dla pięciu z oskarżonych najwyższej kary, ale ku ogólnemu zdziwieniu, jak powiada Kaurin, w swojej mowie „nie mieszał Nowskiego z błotem”. (Skłonny jestem wierzyć, że rola Borysa Dawidowicza w procesie została kupiona za tę cenę). Złożył nawet pewien hołd jego osobowości, która mimo wszystko do końca zachowała integralność (na co wskazuje szczerą współpracę podczas śledztwa), i nadto nazwał go „starym rewolucjonistą”. Podkreślił też, że Nowski zawsze był fanatykiem swoich idei i przekonań, ale w decydującej chwili podporządkował je kontrrewolucji i międzynarodowemu spiskowi burżuazyjnemu. Kriczenko próbował znaleźć naukowe wytłumaczenie tej dewiacji moralnej i odkrył je w drobnomieszczańskich korzeniach głównego oskarżonego oraz w zgubnym wpływie jego częstych pobytów na Zachodzie, gdzie bardziej interesował się fanaberiami literackimi niż polityką.

Stary Rabinowcz przed śmiercią powiedział doktorowi Taubemu w kołymskim lazarecie, gdzie leżał jako *dochodiaga* cierpiący na szkorbut i półślepy, o swoim spotkaniu z Nowskim na korytarzu, po zakończonym procesie. „Borysie Dawidowiczu”, szepnął, „boję się, że wam rozum odjęło. Wszystkich nas pogrzebiecie swoją obroną”. Nowski odpowiedział mu z dziwnym wyrazem twarzy, przypominającym cień uśmiechu: „Wy, Izaaku Iljiczu, powinniście znać obyczaj żydowskiego pogrzebu... W chwili, gdy zwłoki mają być wyniesione z synagogi na cmentarz, jeden ze sług Jahwe pochyla się nad zmarłym, wzywa go po imieniu i mówi głośno: «Wiedz, że jesteś martwy!». Zatrzymał się jeszcze na chwilę i dodał: «Wspaniały obyczaj!»”.

Na znak wdzięczności i chyba w przekonaniu, że wydobył ze śmierci wszystko, co może wydobyć żywy człowiek, Nowski w ostatnim słowie powtarza, że jego zbrodnie w pełni zasługują na karę śmierci jako jedynie sprawiedliwą, że decyzji oskarżyciela absolutnie nie uważa za zbyt surową i nie odwoła się od wyroku, prosząc o darowanie życia. Jako że uniknął zaciskającej się pętli haniebnej szubienicy, śmierć od kul karabinowych uznaje za godny koniec i szczęśliwy kres.

Poza tym kontekstem moralnym odczuł zapewne, że zrządzeniem jakiejś wyższej sprawiedliwości musi zginąć od stali i ołowiu.

Nie został jednak rozstrzelany (wygląda na to, że trudniej jest wybrać śmierć niż życie). Zmieniono mu karę i po roku spędzonym w cieniu śmierci ponownie ruszył w ciężką drogę zesłańca. Na początku 1934 roku, pod nazwiskiem Dolski – tym samym, które nosił podczas ostatniego pobytu w carskich kazamatach – trafił na właśnie zasiedlaną Wyżynę Turgajską. (W tej zmianie nazwiska nie należy dopatrywać się czegoś, co by mogło określać jego przyszłość, oznaki sprzeciwu czy wyzwania. Nowski, jak się wydaje, kierował się przede wszystkim powodami natury praktycznej – niektóre jego dokumenty były wystawione na nazwisko Dolski). W tym samym roku pozwolono mu na osiedlenie w zabitym deskami Aktiubińsku; razem z innymi zesłańcami, którzy patrzyli na niego podejrzliwie, pracował w gospodarstwie rolnym, gdzie uprawiano głównie buraki cukrowe.

W grudniu zgodzono się, by odwiedziła go siostra. Nowski chorował, żalił się na bóle nerek. Miał już wtedy wstawione zęby z nieoksydowanej stali. (Czy zęby wybito mu w śledztwie, jak twierdził doktor Taube, trudno dziś powiedzieć). Borys Dawidowicz sprzeciwił się, by siostra próbowała załatwić zgodę władz na jego przesiedlenie do Moskwy – nie chciał spojrzeć ludziom w twarz.

„Spodziewał się śmierci we wczesnych godzinach rannych, które pokrywały się z porą jego aresztowania”, zanotowała siostra. „Siedział wtedy jak skamieniały i szklącymi się oczami spoglądał ku drzwiom, których nie zamykał na klucz. O trzeciej nad ranem brał gitarę i cicho śpiewał jakieś niezrozumiałe pieśni. Cierpiał na omamy słuchowe, zdawało mu się, że słyszy głosy i kroki na korytarzu”. (Po Moskwie krążyła w tamtych latach następująca anegdota: „Co tam porabia Nowski? – Pije herbatę z dżemem porzeczkowym i gra na gitarze *Międzynarodówkę*”. – „Ale z tłumikiem” – dodawał jakiś złośliwiec).

Strasznej zimy 1937 roku Nowskiego ponownie aresztowano i wywieziono w nieznanym kierunku. Rok później jego ślad pojawia się na dalekiej Insułmie. Na ostatnim liście napisanym jego ręką widnieje stempel Kemu, miejscowości nad Morzem Białym, na zachód od Wysp Sołowieckich.

Dalszy ciąg i zakończenie opowieści o Nowskim pochodzi od Karla Georgiewicza (który przez pomyłkę nazywa go „Podolski” zamiast Dolski). Miejsce akcji: daleka lodowata Północ, Norylsk.

W tajemniczy, trudny do wyjaśnienia sposób Nowski znika z łagru, prawdopodobnie podczas jednej z tych zamieci, kiedy strażnicy na bocianach, broń i owczarki niemieckie zdają się na nic. Gdy straszliwa *purga* się uspokaja, ruszają w pościg za uciekinierem, zdając się na instynkt krwiożerczych psów. Przez trzy dni łagiernicy w barakach oczekują komendy: „Wychodzić!”; przez trzy dni wściekle wilczury, z pianą u pyska, szarpią się w metalowych obrożach, wlokąc zmordowanych strażników przez głębokie zaspy.

Czwartego dnia jeden z nich odkrył Nowskiego w pobliżu odlewni, gdzie zarośnięty, jak widmo, grzał się przy wielkim kotle, pełnym płynnego żużla. Otoczyli go i spuścili skowyczące wilczury. Zbieg stał na rusztowaniu nad kotłem, oświetlony płomieniami. Gorliwy strażnik zaczął wspinać się na rusztowanie. Kiedy się zbliżył, Nowski skoczył w płynną, wrzącą masę. Strażnicy widzieli, jak zniknął, zwinął się niby smuga dymu, głuchy na rozkazy, niepokorny, wolny od wilczurów, od chłodu, spiekoty, od kary i od skruchy.

Ten odważny człowiek umarł 21 listopada 1937 roku, o czwartej po południu. Zostawił kilka papierosów i szczoteczkę do zębów.

Pod koniec czerwca 1956 roku londyński „Times”, który zgodnie ze starą, dobrą tradycją angielską chyba jeszcze wierzy w duchy, doniósł, że w Moskwie, w pobliżu murów Kremla, widziano Nowskiego. Świadkowie poznali go po stalowych zębach. Wiadomość tę przedrukowała cała zachodnia prasa burżuazyjna, żądna plotek i sensacji.

PSY I KSIĄŻKI

Dla Filipa Davida

W roku Pańskim 1330, dnia dwudziestego trzeciego, miesiąca dwunastego, do czujnych uszu Przewielebnego Ojca w Chrystusie, monseigneuru Jacques'a, z łaski Bożej biskupa Pamiers, dociera wiadomość, że Baruch David Neuman, niegdysiejszy Żyd, uchodźca z Niemiec, wyrzekłszy się ślepoty i perfidii judaizmu, przeszedł na wiarę Chrystusową. Sakrament Chrztu Świętego przyjął w mieście Tuluza podczas prześladowań, jakie wszczęli Pasterze oddani wierze chrześcijańskiej. Następnie, „jak pies, który zżera swoje wymiociny”, rzeczony Baruch David Neuman, korzystając z tego, iż w mieście Pamiers mógł nadal żyć po żydowsku wraz z innymi Żydami, powrócił do obmierzłej Bogu sekty i obyczajów żydowskich. Rzeczony biskup nakazał go pojmać i wtrącić do ciemnicy.

Wreszcie ów człowiek stanął przed nim w Wielkiej Sali pałacu biskupiego, której lewa ściana otwiera się na izbę tortur. Monseigneur Jacques polecił przeprowadzić rzeczonego Barucha przez tę salę i przypomnieć mu w ten sposób o narzędziach, jakie dał nam Bóg Miłosierny, by służyły Jego Świętej Wierze, a także ratowaniu duszy człowieczej.

Monseigneur Jacques miał za stołem pomocnika, brata Gaillarda z Pamiers, zastępcę Inkwizytora z Carcassonne, a byli także obecni magister Bernard Faissessier, oficjał diecezji Pamiers, i magister David de Troyes, Żyd, wezwany tu, by posłużył przewielebnemu biskupowi jako komentator, jeśli Baruch ośmieli się zapuścić w dogmaty i prawa, jako że jest on słynnym znawcą Starego Testamentu, żydowskich praw i „księgi diabelskiej”¹⁰.

10 Księga diabelska to jedna ze słynnych metafor na określenie nie mniej słynnego Talmudu. A.D. 1320 papież Jan XXII nakazał zająć i spalić na stosie wszystkie egzemplarze tej heretyckiej księgi. W całym chrześcijańskim archipelagu celnicy na przejściach granicznych kontrolowali żydowskie karawany, grzebiąc wśród obfitości przemycanych towarów, jedwabiu, skór, przypraw, i nie zważając na nie (chyba że z własnej chciwości). Psy świętego Bernarda, z węchem wyczulonym na „rękopis diabelski”, obwąchiwały zatłuszczone kaftany brodatych kupców i wtykały nosy pod spódnice wystraszonych kobiet. Doszło wreszcie do wielkiej epidemii wścieklizny, psy zaczęły się rzucać także na chrześcijańskich handlarzy, wsuwać nosy pod habity niewinnych pielgrzymów, duchownych i mniszek, które przemycaly suszoną rybę i camembert z Katalonii, znany wśród ludu pod nazwą *crotte de diable*, „łajno nieczystego”. Nagonka na Talmud nie ustawała. W jednym tylko roku 1336 Jean Gui, zwany Jean en Fer (Jan z Żelaza), zajął i spalił na stosie dwie furmanki wyładowane egzemplarzami inkryminowanej księgi; wcześniejsze i późniejsze jego poczynania nie są niestety znane dzisiejszym badaczom. Ów Jean en Fer (co niektórzy jego adwersarze, kierując się zapewne asocjacjami dźwiękowymi i zazdrością, wymawiali, a nawet pisali, jako *Enfer*, „piekło”) okazał się chyba gorliwy i oprócz Talmudu zaczął palić inne książki, a nawet ludzi nie wymienionych w oficjalnym Indeksie Papieskim. Przez pewien czas pozostawał pod presją duchowieństwa, które okrutnie się go obawiało, a działało wedle wskazań papieskich i Boskich. Wiadomo, że ów Jean Gui z Żelaza wyszedł z tej krwawej walki zwycięsko, a większość jego przeciwników skończyła na stosie. Zmarł, jak powiadają, na pół obłąkany, w mniszej celi, otoczony książkami i psami. (*Uwagi tłumacza*).

Baruch David Neuman przysiągł na prawo Mojżeszowe, że będzie mówił tylko prawdę, przede wszystkim o sobie, lecz także o innych, żywych i umarłych, których przywoła na świadków.

Kiedy to zostało uczynione, powiedział i zeznał, co następuje:

Tego roku (w ubiegły czwartek minął równo miesiąc) Czcigodni Pasterze przybyli do Grenady zbrojni w długie noże, kopie i bicze, z krzyżami z koziej skóry naszytymi na szatach, wojowniczo wymachując chorągwiami i grożąc, że wytępią wszystkich Żydów. Wówczas to Salomon Vidas, młody Żyd, odszukał sędziego Grenady, w towarzystwie Żyda Eleazara, jego pisarza, i spytał, jak opowiadał mi później, czy ów mógłby go obronić przed Czcigodnymi Pasterzami. Sędzia powiedział, że mógłby. Lecz widząc, że owi przybywali w coraz większej liczbie i zaczęli przeszukiwać nawet domostwa chrześcijan i dostojników, powiedział Salomonowi, iż chyba nie zdoła go obronić.

Poradził mu, by znalazł łódź na Garonnie i popłynął do Verdun – tam bowiem znajduje się większy i bezpieczniejszy zamek, należący do jego przyjaciela.

Salomon wziął zatem łódź i popłynął z biegiem rzeki ku Verdun. Z brzegu dostrzegli go jednak Pasterze, oni także wzięli łódź i wiosła, doścignęli Salomona i skrępowali. Tak zabrali go do Grenady, mówiąc, że albo natychmiast się ochrzczi, albo zostanie zabity. Sędzia, który na to wszystko patrzył z brzegu, z dłonią u czoła, podszedł do nich i powiedział: jeśli zabiją Salomona, to jakby jemu samemu ucięli głowę. A tamci na to, że jeśli tak, to spełnią jego życzenie.

Słyszac to wszystko, Salomon oświadczył, iż nie chce, by sędzia jakkolwiek przez niego ucierpiał, i spytał Pasterzy, czego oczekują. A oni powtórzyli: albo się ochrzczi, albo zostanie zabity. Rzeczony Salomon odparł, że raczej się ochrzczi, niż miałby zostać zabity. Wówczas ochrzcili go natychmiast w mętnej wodzie Garonny, a wraz z nim pisarza Eleazara. Był tam bowiem młody kapłan, który w tym wszystkim dobrze się wyznawał. Potem dwie mniszki przyszyły na ich szatach krzyże z koziej skóry i pozwolono im odejść.

Nazajutrz rzeczeni Salomon i Eleazar odszukali mnie w Tuluzie i opowiedzieli, co im się przydarzyło. Oświadczyli, że przyjęli chrzest nie z własnej woli i gdyby to było możliwe, chcieliby wrócić na łono swojej wiary. I powiedzieli jeszcze: jeśli dnia któregoś Jehowa w swojej łasce otworzy im oczy i wskaże, iż nowe prawa lepsze są od starych, a dusza na łonie nowej wiary mniej grzeszy względem ludzi i zwierząt, wówczas przechrzczą się dobrowolnie i szczerze.

Odrzekłem na to, że nie wiem, co im radzić. Może by i mogli wrócić bezkarnie na łono judaizmu, jeśli prawa chrześcijańskie zwolnią ich dusze, lecz muszę spytać o to brata Raimonda Lesnaca, zastępcę Monseigneur Inkwizytora Tuluzy – ów z pewnością potrafi im udzielić rady i przebaczenia.

Udałem się zatem wraz z Bonnetem, Żydem z Agen, do rzeczzonego brata Raimonda i do adwokata Marquèsa, notariusza Monseigneur Inkwizytora Tuluzy. Opowiedziałem im o nieszczęściu, jakie spotkało Salomona. Spytałem, czy ważny jest chrzest dokonany wbrew woli tego, którego ochrzczone, i co sądzą o wierze przyjętej pod groźbą śmierci. Odpowiedzieli, że taki chrzest nie jest ważny.

Poszedłem znowu do Salomona i Eleazara z wiadomością, iż brat Raimond i adwokat Marquès uważają, że ich chrzest z punktu widzenia prawdziwej religii nie ma mocy, mogą więc wrócić do wiary Mojżeszowej. Wówczas Salomon powierzył swą sprawę Monseigneurowi Seneszalowi miasta Tuluzy, prosząc, by uzyskał dla niego wykładnię Kurii Rzymskiej co do ważności tego chrztu, obawiał się bowiem, iż jego powrót do judaizmu mógłby być poczytany za oznakę dwulicowości.

Kiedy wszystko to zostało uczynione, Salomon i Eleazar wrócili do wiary Mojżeszowej zgodnie z doktryną Talmudu. Ostryimi nożyczkami obcięto im paznokcie u rąk i nóg, ogolono głowy, a całe ciało zanurzono w wodzie źródlanej, w ten sam sposób, w jaki zgodnie z Prawem oczyszcza się ciało i duszę cudzoziemki, która poślubia Żyda.

W następnym tygodniu pan Aloder, namiestnik miasta Tuluzy, sprowadził dwadzieścia cztery wozy pełne mieszczan i Pasterzy pojmanych z powodu rzezi w Castelsarrasin i okolicy, w której wymordowali oni stu pięćdziesięciu dwóch Żydów w różnym wieku. Kiedy wozy z rzeczonymi ludźmi dotarły do zamku hrabiego Narbony, a dwadzieścia już wjechało w bramę, zebrał się wielki tłum mieszkańców Tuluzy. Ludzie z ostatnich wozów zaczęli wzywać pomocy, wołając, że oto wiodą ich do ciemnicy, a żadnego grzechu nie uczynili; chcieli tylko bronić Krwi Chrystusa, która woła o pomstę do nieba. Wówczas to tłum, pod wrażeniem niesprawiedliwości dokonującej się na jego oczach, pociął nożami więzy krępujące mścicieli, pozsadzał ich z wozów i zaczął wraz z nimi krzycheć na całe gardło: „Śmierć Żydom!”. Wielka gromada natarła na dzielnicę żydowską.

Zajęty byłem czytaniem i pisaniem, kiedy do mego pokoju wtargnęło mnóstwo ludzi zbrojnych w niewiedzę tępą jak bat i nienawiść ostrą jak nóż. Nie od moich jedwabi czerwieniły im się oczy, ale od książek ustawionych na półkach. Jedwab pochowali pod opończe, książki zaś pozrzucaли na podłogę, zaczęli deptać je i drzeć na moich oczach. A były te książki oprawne w skórę i oznaczone cyframi, napisane przez uczonych; gdyby owi zechcieli je czytać, znaleźliby w nich tysiąc powodów, by mnie zabić na miejscu.

I znaleźliby, gdyby zechcieli je czytać, lek i balsam na swoją nienawiść.

Powiedziałem im przeto, żeby nie niszczyli książek, książki bowiem w wielości nie są niebezpieczne, niebezpieczna jest tylko jedna. I powiedziałem, żeby ich nie darli, bowiem czytanie wielu książek prowadzi do mądrości, a czytanie jednej jedynej do niewiedzy, zbrojnej w szaleństwo i nienawiść. Odrzekli, że wszystko jest napisane w Nowym Testamencie, w nim się znajdują księgi wszech czasów. To, co w nim jest powiedziane, zawiera w sobie wszystkie inne książki, dlatego trzeba je spalić. Jeśli zaś w innych książkach jest coś, czego nie ma w tej Jedynej, to inne trzeba tym bardziej spalić jako heretyckie. I rzekli jeszcze, że rady uczonych nie są im potrzebne. I zakrzyknęli: „Ochrzczij się albo wybijemy ci z głowy mądrość wszystkich ksiąg, jakie przeczytałeś”.

Widząc ślepy gniew tej gawiedzi oraz to, że na moich oczach zabija ona Żydów, którzy nie chcieli się ochrzcić (niektórzy z wierności, inni z dumy, niekiedy zgubnej), odpowiedziałem, że raczej przyjmę chrzest, niż pozwolę się zabić, jako że mimo wszystko przemijający ból trwania wart jest więcej niż ostateczna pustka nicości. Na to schwyтали mnie i wypchnęli z domu, nie pozwalając nawet zmienić szlafroka na jakieś stosowniejsze odzienie, i tak zaprowadzili mnie do katedry Świętego Stefana.

Kiedy znaleźliśmy się przed kościołem, dwaj duchowni wskazali mi leżące dokoła zwłoki Żydów; ciała ich były zmasakrowane, a twarze zalane krwią. Potem wskazali mi kamień znajdujący się przed kościołem, a na ten widok ja sam skamieniałem: na kamieniu leżało serce, przypominające krwawą kulę. „Spójrz”, powiedzieli, „oto serce jednego z tych, którzy nie pozwolili się ochrzcić”. Wokół zebrała się cała gromada, przyglądając się sercu ze zdumieniem i wstrętem.

Zamknąłem oczy, żeby na to nie patrzeć, a wtedy ktoś z obecnych uderzył mnie w głowę kamieniem albo kijem, i tym przyśpieszył moją decyzję. Powiedziałem, że przyjmę chrzest, mam jednak przyjaciela duchownego, brata Jeana zwanego Teutonem, i chciałbym, żeby on został moim ojcem chrzestnym. Mówiłem to w nadziei, że jeśli dotrę do brata Jeana, który był mi wielce przyjazny i z którym wiodłem długie dysputy o kwestiach wiary, to może on sprawi, by oszczędzono mi śmierci i chrztu. Dwaj młodzi fratryzy uzgodnili wówczas, że zaprowadzą mnie do domu Jeana Teutona, który w hierarchii stał wyżej od nich i obawiali się go obrazić. Przed kościołem poczułem zapach dymu i ujrzałem płomienie wzbijające się nad dzielnicą żydowską. Na moich oczach zabito Aszera, dwudziestoletniego Żyda, i powiedziano mi: „Ten się powoływał na twoje nauki i twój przykład”. A wskazując na innego młodzieńca, jak się później dowiedziałem, z Taraskonu, powiedzieli jeszcze: „Twoje zwlekanie zabija tych, którzy wierzyli w twoje nauki i szli za twoim przykładem”. Wówczas puścili młodzieńca ci, którzy go trzymali, i upadł zwrócony twarzą ku mnie, nie zdążyłem bowiem ust otworzyć, a już zadali mu śmiertelny cios w plecy.

Obywatele Tuluzy, świadkowie tej sceny przed katedrą, spytali towarzyszących mi braci, czy jestem już ochrzczony, na co oni odpowiedzieli przecząco. Jeszcze przedtem, gdy wychodziliśmy z kościoła, prosiłem ich, aby na takie pytania odpowiadali, że jestem ochrzczony, ale odmówili. Ktoś z tłumu znowu uderzył mnie drągiem w głowę, miałem wrażenie, że oczy wypadają mi z czaszki. Dotknąłem tego miejsca, ale nie było krwi, tylko guz, który goił się sam z siebie, bez pomocy lekarstw, bandaży czy balsamów. Wśród lamentów żydowskich dwaj fratrzy oświadczyli, że nie zdołają mnie obronić przed wściekłością tłumu ani zaprowadzić do domu rzeczonoego spowiednika, gdyż prędzej zostaną zabity.

Wówczas spytałem ich o radę, a oni powiedzieli: „Wejź na drogę, którą wszyscy idziemy, a podamy ci rękę”. I powiedzieli jeszcze: „Nie szukaj innych ścieżek mimo drogi, którą wszyscy idą”. I wreszcie powiedzieli: „Podążając za twoim przykładem, wielu zginęło”. Odrzekłem na to: „Wracajmy do kościoła”.

Wróciliśmy zatem do katedry, w której skwierczały świece, a lud, ze świeżą krwią na rękach, klęczał, mamrocząc modlitwy. Wtedy poprosiłem dwóch moich strażników, by zaczęli jeszcze trochę; chcę się bowiem przekonać, czy nadejdą moi synowie¹¹. Owi zaczęli nieco, a gdy moi synowie nie nadeszli, powiedzieli mi, że dłużej nie mogą zwlekać, i w końcu muszę zdecydować: czy przyjmę chrzest, czy wyjdę przed kościół, gdzie nadal mordowano niezdecydowanych.

¹¹ Jeden ze współczesnych komentatorów (Duvernoy) podaje przy tym zdaniu następujące wyjaśnienie: „Chociaż archiwa nie dostarczają na ten temat żadnych danych, skłonni jesteśmy przypuszczać, że Baruch nie tylko pragnął odwlec przykrą i upokarzającą scenę chrztu, lecz przyjął sprytną taktykę. Jeżeliby jego synowie zdołali uniknąć przechrzczenia, dla uczonego Barucha byłby to wystarczający powód, by nie narażać się na ich pogardę. Jeśli zaś ich stracono, jego decyzję umocni ból, a śmierć będzie wybawieniem.

Wówczas powiedziałem, że chciałbym, by moim ojcem chrzestnym został namiestnik miasta Tuluzy, wikariusz, a miałem na myśli dobrego przyjaciela, Pierre'a de Savarduna, który mógłby mnie uratować od chrztu i śmierci. Duchowni oświadczyli na to, że wikariusz przyjść nie może, gdyż właśnie sprowadził był Pasterzy z Castelsarrasin i odpoczywa strudzony daleką drogą. Na to niektórzy podnieśli się z kłęczek, rzucili się na mnie ze wszystkich stron i dowlekli do kamiennej chrzcielnicy. Zanim wepchnęli mi głowę pod wodę, zdołałem wymówić tylko jedno słowo „wikariusz”, lecz potem nic już nie mogłem wykrztusić, bowiem trzymali mnie długo, przyciskając głowę. Pomyślałem nawet, że utopia mnie jak psa w święconej wodzie.

Następnie podprowadzono mnie do kamiennych schodów i rzucono na kłęczki, między tych, którzy już tu kłęczeli. Nie wiem, ilu ich było i kto to był, nikomu bowiem nie spojrzałem w oczy, trzymając głowę spuszczoną ku kamiennym schodom. Kapłan, jak mniemam, uczynił wówczas wszystko, co czyni się podczas chrztu. Zanim jednak począł czytać to, co czyta się w czasie obrzędu, jeden z owych dwóch fratrów nachylił się do mojego ucha i polecił przyznać, że chrzest przyjąłem dobrowolnie, w przeciwnym bowiem razie mogę zostać zabity. Wtedy potwierdziłem, że wszystko to czynię z dobrej woli, choć myślałem odwrotnie. Nadano mi imię Johann, czyli Jean. Ludzie wokół mnie powstawali z kłęczek i oddalili się.

Kiedy wszystko to zostało uczynione, poprosiłem owych dwóch fratrów, by odprowadzili mnie do domu i przekonali się, czy coś zostało z mojego majątku. Odrzekli na to, że nie mogą pójść ze mną, ponieważ są zmęczeni i mokrzy od potu. Zabrali mnie jednak do siebie i dla uczczenia mojego chrztu piliśmy wino z ich piwnicy. Nie powiedziałem przy tym słowa, nie chciałem bowiem mówić z nimi o sprawach wiary, choć mnie prowokowali.

Potem jednak odprowadzili mnie do mego domu, aby zobaczyć, czy cokolwiek się ostało. Książki znaleźliśmy podarte i nadpalone, pieniądze ukradziono. Zostało wszystkiego siedem bel tkanin, niektóre dane mi pod zastaw, inne – moje własne, oraz jedna kapa z jedwabiu aragońskiego. Frater, który od niedawna nazywał siebie moim ojcem chrzestnym, pozbiierał zwoje materiałów do jednego worka.

Wychodząc, natknęliśmy się przed domem na urzędnika zarządu miasta Tuluzy, którego znał mój frater. Człowiek ów był uzbrojony, miał bronić Żydów pozostałych przy życiu. Mój „ojciec chrzestny”, wskazując na mnie, powiedział: „Ten jest ochrzczony, dobry chrześcijanin”. Strażnik skinął głową, a gdy podszedłem, spytał szeptem: „Chcesz być dobrym Żydem?” Odpowiedziałem: „Chcę”. „A masz na to dość pieniędzy?”, spytał jeszcze. „Nie mam”, powiedziałem, „lecz weźcie, panie, to”, i dałem mu worek ze zwojami tkanin. Ów przekazał worek jednemu ze swoich ludzi, a do mnie rzekł: „No dobrze, niczego się nie bój. Jeżeli ktoś by cię pytał, powiedz, żeś dobrym chrześcijaninem, a ocalisz głowę”.

Nieco później spotkaliśmy, mój „ojciec chrzestny” i ja, grupę dziesięciu urzędników miejskich i towarzyszących im licznych strażników. Jeden z urzędników odwołał mnie na bok i spytał szeptem: „Jesteś Żydem?”. Odrzekłem, że jestem, szeptem, by „ojciec chrzestny” nie słyszał. Wówczas ów powiedział fratrowi, że może mnie śmiało puścić, a frater powierzył opiekę nade mną sierżantowi; polecił przy tym, by mnie strzegł jak jego samego, i to w imieniu władz miasta. Dalej szedłem pod ramię z sierżantem. Kiedy byliśmy w pobliżu Kapitolu, tym, którzy o to pytali, mówiłem, że jestem Żydem, lecz gdy wchodziliśmy na wąskie uliczki o złej sławie i tam pytano sierżanta, czy czasem nie prowadzi Żyda, który nie chciał się ochrzcić, ów za moją radą odpowiadał, iż jestem ochrzczonym i dobrym chrześcijaninem.

Zabijanie Żydów i rabowanie ich dobytku trwało dnia tego do późnego wieczora. Miasto rozświetlały płomienie, a psy wyły ze wszęch stron. Wieczorem, kiedy wydało mi się, że ulice opustoszały, zwróciłem się do sierżanta z prośbą, jako że moje sumienie nie było czyste; pragnąłem udać się do wikariusza i zapytać, czy chrzest przyjęty pod groźbą śmierci jest ważny, czy nie. Kiedy przybyliśmy na miejsce, wikariusz właśnie wieczerzał. Sierżant powiedział w moim imieniu: „Oto pewien Żyd, który chciałby, byście go, panie, ochrztili osobiście”. „Spożywamy wieczerzę, usiądźcie z nami do stołu”, odrzekł na to wikariusz. Jako że nie chciałem i nie mogłem jeść, zacząłem się przyglądać tym, co siedzieli przy stole. Spostrzegłem wśród nich przyjaciela, Pierre’a de Savarduna. Dałem mu znak i odeszliśmy na bok. Powiedziałem, że nie zamierzam się chrzcić, niech więc poprosi, by wikariusz mnie do tego nie zmuszał, taki chrzest bowiem nie będzie ważny. Pierre de Savardun przyrzekł spełnić moją prośbę, po czym zwolnił sierżanta, oświadczając, że sam mnie będzie pilnował.

Przydzielił mi następnie innego sierżanta, zaufanego. Udałem się wraz z nim do Narbony, by sprawdzić, czy któryś z moich synów nie znajduje się wśród zamordowanych Żydów, których ciała złożono na dziedzińcu zamkowym.

Kiedy wróciliśmy, Monseigneur Wikariusz spytał: „Chcesz być ochrzczony teraz czy zaczekasz do jutra?” Na to podszedł do niego Pierre de Savardun i coś mu szeptał poufnie. Potem Monseigneur Wikariusz oświadczył: „Nikogo oczywiście nie chcę chrzcić pod przymusem, czy to Żyda, czy kogokolwiek innego!”. Z tego wywnioskowałem, iż chrzest, któremu zostałem poddany pod przymusem, można uznać za nieważny.

Na koniec poprosiłem Pierre'a de Savarduna o radę w następującej sprawie: czy mam zostać w Narbonie, czy też się oddalić. Ów powiedział mi na to, że wszyscy Żydzi, którzy schronili się w zamku, będą albo ochrzczeni, albo zabici, lepiej zatem, bym się udał do Tuluzy. Pierre dał mi trzy szylingi i odprowadził mnie na rozstaje, skąd główna droga wiodła do Mongiscard. Poradził, bym ruszył jak najprędzej, a gdybym kogoś spotkał, miałem mówić tylko po niemiecku.

Spieszyłem więc, by jak najszybciej dotrzeć do Mongiscard. Kiedy wreszcie znalazłem się na rynku w Mongiscard, z bram wysypała się gromada ludzi zbrojnych w kije i noże. Pojmawszy mnie, zapytali, czy jestem Żydem, czy chrześcijaninem. Na to spytałem, kim są oni, a ci odpowiedzieli: „Jesteśmy Czcigodni Pasterze, służymy wierze Chrystusowej”. I powiedzieli jeszcze: „W imię raju na niebie i na ziemi pozbędziemy się wszystkich, którzy nie idą drogą Pańską, Żydów i nie-Żydów”. Wówczas rzekłem, iż nie jestem Żydem, i spytałem: „Czy raj na niebie i na ziemi osiąga się przez krew i ogień?”. A oni powiedzieli: „Wystarczy jedna dusza niewierna, by wszystkich nas pozbawić raju i nadziei, tak jak jedna parszywa owca wystarczy, by sparszywiało całe stado”. I dodali: „Czy nie lepiej zarznąć jedną parszywą owcę niż dopuścić, by sparszywiało całe stado?”. I zakrzyknęli głośno: „Zatrzymajcie go, albowiem jego słowa sięją zwątpienie i niewiarę”. Skrępowali mnie więc i uprowadzili. „Czyżbyście mieli taką władzę nad ludźmi, by rozporządzać ich wolnością?”, spytałem. A oni odrzekli: „Jesteśmy żołnierzami Chrystusa i wolno nam oddzielać zarażonych od zdrowych, tych, którzy wątpią, do tych, którzy wierzą”.

Wówczas powiedziałem, że wiara rodzi się z wątpliwości, że wątpliwość to moja wiara i że jestem Żydem. Ufałem, iż mnie nie zabiją, jako że ręce miałem skrępowane, a tłum się rozszedł, nie kwapiąc się do uczonych rozpraw i dyskusji. Większość pobiegła ku ciemnym uliczkom, gdzie dopadli chyba inne ofiary.

Potem zaprowadzono mnie do dużego domostwa, gdzie w przestronnych piwnicach znajdowało się już około dziesięciu Żydów; był wśród nich uczony Bernardo Lupo z córką, którą z powodu-jej dobroci nazywano La Bonna. Tu spędziliśmy noc i następny dzień na modlitwie. Postanowiliśmy, że wytrwamy w wierze i nie pozwolimy się ochrzcić. Naszą modlitwę przerywały jedynie szczury, które przez całą noc piszczaly po kątach i hasały po piwnicy, ciężkie, spalone. Nazajutrz poprowadzono wszystkich nas pod strażą do Mazères, a stamtąd do Pamiers¹².

„Czy wróciliście do wiary żydowskiej w Pamiers lub gdzie indziej, w obrządku zgodnym z regułami religii Mojżeszowej?” „Nie. Albowiem, zgodnie z doktryną Talmudu, kiedy ktoś ochrzci się dobrowolnie i według zasad chrześcijańskich, a chce powrócić do swojej starej wiary, musi podporządkować się obowiązującym zwyczajom (obcięcie paznokci, włosów oraz kąpiel całego ciała), jako że uważa się go za nieczystego. Lecz gdy nie został ochrzczony dobrowolnie i według wszelkich zasad chrześcijańskich, ale pod przymusem, wówczas nie wchodzi w grę wspomniane zwyczaje i chrzest taki uważa się za niezaistniały”.

12 W diecezji Pamiers na podstawie dekretu tamtejszego Inkwizytora, Arnauda Dejeana, Żydzi mieli prawo żyć w wolności. Ów dekret z dnia 2 marca 1298 roku, zabraniający mieszkańcom i władzom cywilnym obchodzić się z Żydami „nazbyt surowo i okrutnie”, pokazuje, jak bardzo odwaga cywilna i postawa jednostki w ciężkich czasach mogą zmienić los, który tchórze uważają za nieunikniony, nazywając go przeznaczeniem, fatum i koniecznością historyczną. (*Uwaga tłumacza*).

„Czy powiedzieliście jednej lub większej liczbie osób ochrzczonych pod groźbą śmierci, że chrzest jest nieważny, mogą zatem spokojnie i bezkarnie wrócić na łono judaizmu?”

„Nie, prócz tego, co przedstawiłem tu niedawno w związku z Salomonem i Eleazarem”.

„Czy powiedzieliście jednemu lub większej liczbie Żydów, by zgodzili się na chrzest jedynie w celu uniknięcia śmierci, a potem wrócili na łono judaizmu?”

„Nie”.

„Czy kiedykolwiek byliście świadkiem obrzędu przywracającego do wiary Mojżeszowej ochrzczonego przedtem Żyda?”

„Nie”.

„Czy uważacie wasz chrzest za nieważny?”

„Tak”.

„Dlaczego dobrowolnie narażacie się na niebezpieczeństwo heretyckiego myślenia?”

„Albowiem pragnę żyć w zgodzie z sobą, nie ze światem”.

„Wytłumaczcie to”.

„Ponieważ nie wiem, w co i dlaczego wierzą chrześcijanie; ponieważ – przeciwnie – wiem, w co i dlaczego wierzą Żydzi; i ponieważ sądzę, że wiara ich jest dowiedziona przez Prawo i Księgi Proroków, które studiowałem jako doktor lat niemal dwadzieścia. Powiadam przeto, iż dopóki na podstawie mojego Prawa i Ksiąg Proroków nie zostanie mi udowodnione, że wiara chrześcijańska jest z nimi zgodna, dopóty nie uwierzę w waszą religię, nie bacząc na bezpieczeństwo, jakie by mi zapewniała. I wolę umrzeć niż wyrzec się mojej wiary”.

Tak zaczęła się dysputa o wierze chrześcijańskiej z Baruchem Davidem Neumanem. Baruch sprzeciwiał się siłą swoich argumentów, zaś Przewielebny Ojciec w Chrystusie, Monseigneur Jacques, z łaski Bożej biskup Pamiers, okazał bezgraniczną cierpliwość, by nie szczędząc czasu i sił, doprowadzić rzeczzonego Barucha do Prawdy. Rzeczony Żyd natomiast uporczywie i zawzięcie stał przy swoim, trzymając się Starego Testamentu i odrzucając światło wiary chrześcijańskiej, którym Monseigneur Jacques miłosiernie pragnął go obdarzyć.

Wreszcie, 16 sierpnia A.D. 1330, rzeczony Baruch zawahał się, ustąpił i własnoręcznym podpisem potwierdził, iż wyrzeka się wiary żydowskiej.

Kiedy przeczytano mu protokół przesłuchania, Baruch David Neuman, zapytany, czy swoje oświadczenie złożył na mękach, czy zaraz po zdjęciu z łoża tortur, odpowiedział, że oświadczenie podpisał zaraz po zdjęciu z łoża, około godziny dziewiątej rano, a potwierdził je tego samego dnia w godzinach wieczornych, choć nie brano go ponownie na męki.

Przy tym przesłuchaniu byli obecni: Monseigneur Jacques, z łaski Bożej biskup Pamiers, brat Gaillard z Pamiers, magister Bernard Faissessier, magister David de Troyes, Żyd, a także my, Guillaume Pierre Barthes i Robert de Robecourt, notariusze Monseigneura Inkwizytora Carcassonne.

Wiadomo nam, że Baruch David Neuman stawał przed tym samym trybunałem jeszcze dwukrotnie: pierwszy raz w połowie maja następnego roku, kiedy to przyznał, iż powtórna lektura Prawa i Księgi Proroków zachwiała go w wierze. Nastąpiła długa dysputa nad hebrajskimi źródłami. Wyrwała, cierpliwa argumentacja Monseigneur'a Jacques'a skłoniła Barucha do ponownego wyrzeczenia się judaizmu. Ostatni wyrok nosi datę 20 listopada 1337 roku. Nie zachował się jednak protokół przesłuchania, a Duvernoy wysuwa przypuszczenie, że nieszczęsny Baruch prawdopodobnie wyzionął ducha na mękach. Inne źródło mówi o Baruchu, który został skazany za to samo przestępstwo myślenia i spalony na stosie jakieś dwadzieścia lat później. Trudno przypuszczać, że chodzi o tę samą osobę.

OD AUTORA

Opowiadanie o Baruchu Davidzie Neumanie to właściwie przekład trzeciego rozdziału (*Confessio Baruc olim iudei modo baptizati et postmodum reversi ad iudaismum*) rejestru Inkwizytora, w którym Jacques Fournier, późniejszy papież Benedykt XII, zapisywał sumiennie i szczegółowo zeznania złożone przed jego trybunałem. Rękopis jest przechowywany w łacińskich zbiorach Biblioteki Watykańskiej pod numerem katalogowym 4030. W tekście wprowadziłem tylko niewielkie skróty, w części, w której dyskutuje się o Trójcy Świętej, o posłannictwie Chrystusa, o spełnieniu się Litery Prawa i zaprzecza niektórym twierdzeniom zawartym w Starym Testamencie.

Przekładu dokonano na podstawie francuskiej wersji Monseigneur'a Jeana Marie Vidala, byłego wikarego kościoła Świętego Ludwika w Rzymie, i na podstawie wersji katolickiego egzegety, czcigodnego Ignacego von Döllingera, ogłoszonej w Monachium, w 1890 roku. Teksty te to uczone i pożyteczne komentarze, od tamtych czasów wielokrotnie przedrukowywane, ostatnio, o ile mi wiadomo, w roku 1965. Oryginał wspomnianego protokołu („piękny rękopis na pergaminie z tekstem wykalfigrafowanym w dwu szpaltach”) dociera zatem do czytelnika jako potrójne echo dalekiego głosu Barucha, jeżeli także jego głos uznamy za przekład – echo zamysłu Jahwe.

Niespodziewane i przypadkowe odkrycie tego tekstu, które zbiegło się w czasie ze szczęśliwym zakończeniem pracy nad opowieścią pod tytułem *Grobowiec dla Borysa Dawidowicza*, równało się dla mnie cudowi i olśnieniu: analogie ze wspomnianym opowiadaniem są tak oczywiste, że zgodność motywów, dat i nazwisk uznałem za Boży udział w twórczości, *la part de Dieu*, albo diabelski, *la part du diable*.

Trwałość przekonań moralnych, przelana krew ofiar, podobieństwo nazwisk (Borys Dawidowicz Nowski – Baruch David Neuman), zbieżność dat aresztowania Nowskiego i Neumana (tego samego dnia złowrogiego miesiąca grudnia, z dystansem sześciu wieków, 1330... 1930), wszystko to pojawiło się nagle w mojej świadomości jako rozwinięta metafora klasycznej doktryny o cyklicznym charakterze czasu. „Kto widział terazniejszość, widział wszystko od wieczności do wieczności. Wszystko bowiem jest jednakiego rodzaju i kształtu jednakiego” (Marek Aureliusz, *Rozmyślenia*, ks. VI, 3713).

Polemizując ze stoikami (a przede wszystkim z Nietzschem), J.L. Borges tak ujmuje ich nauczanie: „Świat jest pożerany cyklicznie przez ogień, który go zrodził; a powstaje z unicestwienia, by powtarzać wciąż tę samą historię. Od nowa łączą się przeróżne drobiny nasion, od nowa przybierają kształt kamienie, drzewa i ludzie, nawet cnoty i dni, albowiem Grecy nie wierzyli, że może istnieć rzeczownik (*substantivum*) pozbawiony substancji. Od nowa każda szpada i każdy bohater, od nowa wypełniona drobiazgami każda noc bezsenna”¹⁴.

13 W przekładzie Mariana Reitera.

14 W przekładzie Rajmunda Kalickiego.

W tym kontekście kolejność w a r i a n t ó w nie ma większego znaczenia. Zdecydowałem się jednak na chronologię duchową, a nie historyczną – dzieje Davida Neumana odkryłem, powtarzam, po napisaniu opowieści o Borysie Dawidowiczu.

KRÓTKA BIOGRAFIA A.A. DARMOŁATOWA (1892-1968)

W naszych czasach, kiedy losy wielu poetów kształtują się według potwornie standardowego modelu epoki, klasy i środowiska, a zdarzenia istotne dla życia – niepowtarzalna magia pierwszego wiersza, egzotyczna podróż do Tyflisu na jubileusz Rustawelego czy spotkanie z jednorękim poetą Narbutem – zamieniają się w ciąg chronologiczny bez posmaku przygody i krwi, życiorys Darmołatowa, mimo pewnego schematyzmu, nie jest pozbawiony jądra lirycznego. Z mnóstwa zmieszanych faktów wyłania się nagie ludzkie życie.

Pod wpływem ojca, nauczyciela wiejskiego, biologa-amatora i notorycznego alkoholika, od małego pochłaniały Darmołatowa tajemnice Przyrody. W ich ziemiańskim domu (posag matki) w Nikołajewskim Gorodku żyły na względnej swobodzie psy, ptaki i koty. W szóstym roku życia chłopiec dostał kupiony w pobliskim Saratowie *Atlas motyli Europy i Azji Środkowej* autorstwa Devrillenne'a, jedno z ostatnich arcydzieł sztuki rytowniczej XIX wieku; w rok później asystuje ojcu, który z wypiekami na twarzy przeprowadza wiwisekcję gryzoni oraz doświadczenia na żabach; w dziesiątym roku życia, czytając powieści o wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, staje się gorącym zwolennikiem Hiszpanów; w dwunastym wynosi z cerkwi hostię ukrytą pod językiem i kładzie na ławce ku osłupieniu kolegów. Nad tekstami Korcha śni o czasach antycznych i gardzi współczesnym życiem. Zatem nic bardziej klasycznego niż to prowincjonalne środowisko i pozytywistycznie wykształcone mieszczaństwo, nic banalniejszego niż dziedzictwo, w którym mieszają się alkoholizm i gruźlica (po linii ojca) z melancholijną depresją matki, rozczytującej się w powieściach francuskich. Ciotka ze strony matki, Jadwiga Jaromałajewna, która mieszkała z nimi pod jednym dachem i powoli popadała w demencję – to jedyny szczegół godny uwagi we wczesnej fazie biografii poety.

Tuż przed wybuchem pierwszej rewolucji nagle umiera mu matka, zasnąwszy nad książką Maeterlincka *Życie pszczoł*, otwartą, leżącą na jej kolanach jak martwy ptak. W tym samym roku, zapłodnione nasieniem śmierci, pojawiają się pierwsze wiersze młodego Darmołatowa w czasopiśmie „Życie i Szkoła”, wydawanym przez saratowskie kółko młodzieży rewolucyjnej. W roku 1912 wstępuje na petersburski uniwersytet, gdzie na życzenie ojca studiuje medycynę. W latach 1912-1915 zaczyna drukować w stołecznych czasopismach „Edukacja”, „Świat Współczesny” i w słynnym „Apołonie”.

Na te lata przypada jego spotkanie z Gorodieckim i z poetą-samobójcą Wiktorem Hofmanem, który według słów Makowskiego żył jak człowiek, a umarł jak poeta, strzeliwszy sobie z małego damskiego brauninga w oko niby liryczny Cyklop. Pierwszy i niewątpliwie najlepszy tomik wierszy Darmołatowa, *Rudy i kryształy*, wychodzi w 1915 roku, w starej pisowni, z postacią Atlasa na okładce. „W tym niewielkim zbiorcu”, pisze anonimowy recenzent w czasopiśmie „Słowo”, „jest coś z mistrzostwa Innokientija Annińskiego, coś z młodzieńczej szczerości uczuć w duchu Baratynskiego, coś z olśnienia jak u młodego Bunina. Ale nie ma w nim prawdziwego entuzjazmu, prawdziwego mistrzostwa, szczyrych uczuć ani też miejsc wyraźnie słabych”.

Nie zamierzam zajmować się tu bliżej poezją Darmołatowa ani wnikać w złożony mechanizm sławy literackiej. Dla tej opowieści nie mają również większego znaczenia perypetie wojenne poety, choć muszę przyznać, że okrutne sceny z Galicji i Bukowiny podczas ofensywy Brusilowa – kiedy kadet Darmołatow jako podoficer służby sanitarnej znajduje zmasakrowane ciało brata – nie są pozbawione atrakcyjności. Pewien wdzięk ma jego wyprawa do Berlina i romantyczna przygoda, która na tle udręczonej głodem, tragicznej Rosji z lat wojny domowej kończy się miodowym miesiącem w piekle Kisłowodzka.

Cokolwiek by o tym myśleli krytycy, poezja Darmołatowa przynosi wiele faktów empirycznych (poetyckich), które jak stare pocztówki czy fotografie z wystrzępionego albumu są świadectwem podróży, zachwytów i namiętności, a także urody literackiej: zbawienny efekt wiatru na marmurowych fałdach kariatyd; Tiergarten ze szpalerem przekwitłych lip; światła Bramy Brandenburskiej; ekscentryczne sylwetki czarnych łabędzi; purpurowy odbłask słońca na mętnej wodzie Dniepru; czar białych nocy; magiczne oczy Czerkiesek; kindżał wbity aż po rękojęść między żebra wilka stepowego; wirowy ruch śmigła samolotu; krzyk wrony przed zapadnięciem zmroku; straszliwa panorama spustoszonych ziem nadwożańskich z lotu ptaka; powolne przesuwanie się traktorów i lokomobil na złotych polach pszenicznych; czarne otwory biedaszybów w okolicach Kurska; wieże Kremla w oceanie powietrznym; purpurowy aksamit łóż teatralnych; upiorne posągi z brązu w blasku fajerwerków; wzloty baletnic utkanych z piany; olbrzymi pożar ropy naftowej na tankowcu stojącym w porcie; przerażająca narcoza rymów; martwa natura ze szklanką herbaty, srebrną łyżeczką i z utopioną osą; fioletowe oczy konia w zaprzęgu; optymistyczne obroty turbin; głowa komendanta Frunzego na stole operacyjnym w odurzającym zapachu chloroformu; nagie drzewa na dziedzińcu Łubianki; ochryple naszczekiwanie wiejskich kundli; zdumiewająca równowaga brył betonu; ostrożne stąpanie kota po śladach gila na śniegu; pola kukurydzy pod ogniem zaporowym artylerii; rozstanie miłosne w dolinie Kamy; cmentarz wojskowy koło Sewastopola...

Na podstawie wierszy z lat 1918-1919 nie można rozszyfrować miejsca ich powstania; wszystko się w nich rozgrywa w kosmopolitycznych regionach duszy, która nie jest nigdzie przypisana. W 1921 roku Darmołatow znalazł się w Piotrogradzie w ponurym przepychu dawnej willi Jelisiejewów, na tym Statku Szaleńców, jak mówi Olga Forsz, gdzie gromadziła się zgłodniała brać poetycka, *bet* dochodów i jasnej orientacji. Według Makowskiego, w tych ptakach Bożych żywe były jeszcze tylko oczy o szaleńczym, pozarozumowym blasku. Uparcie trudzili się, by wyglądać jak żywi, ciągnie Makowski, ale człowiek nie mógł się pozbyć wrażenia, że obraca się wśród widm, mimo jaskrawej szminki na wargach kobiet.

Na zewnątrz szalała burza wzniecana przez bieguny magnetyczne rewolucji – kontrewolucji. Za cenę dzikiej odwagi Buchara dostała się ponownie w ręce bolszewików. Bunt marynarzy z Kronsztadu utopiono w morzu krwi. Wokół wymarłych osiedli snuły się wraki ludzkie, zniedołężniałe kobiety o nogach zżartych przez gangrenę i dzieci o rozdętych brzuchach. Kiedy zostały wybite szkapy, kundle, koty i szczury, barbarzyński kanibalizm wyniesiono do prawa zwyczajowego. „Za kim my jesteśmy, bracia Serafina?” wykrzykuje Lew Łunc. „Jesteśmy za pustelnikiem Serafinem!”. Kruczonych, jeśli o niego chodzi, wysławia to, co pozarozumowe: „*Zaum* budzi fantazję twórczą, nadaje jej swobodny rozmach, a nikogo konkretnie nie obraża”. „My umożliwiamy towarzyszom poetom całkowitą wolność wyboru metod twórczych, ale pod warunkiem...”, dodają ci z grupy „Kuźnia”. (Przyjęto jednogłośnie, przy jednym wstrzymującym się).

Na fotografii z tamtych czasów Darmołatow wygląda jeszcze jak petersburski dandys, z plastronem i muszką. Zapadnięte policzki, „oczy wpatrzone w ruiny Rzymu”, ostra broda z dołkiem podobnym do blizny, zaciśnięte wargi – ta twarz, przypominająca kamienną maskę, niczego nie wyraża. Według wiarygodnych źródeł młody Darmołatow skłaniał się już w tych latach do kosmopolitycznego programu akmeistów, tej „tęsknoty do kultury europejskiej”, przede wszystkim pod wpływem innego poety, Mandelsztama; obaj cenili Rzym, Annienskiego, Gumilowa i z równie historyczną zachłannością objadali się słodyczami.

Pewnego upalnego wieczoru, w sierpniu 1921 roku, odbywała się w willi Jelisiejewów orgia, którą wspomniana już Olga Forsz, z typowo kobiecą przesadą, nazywa ucztą w czasach zarazy. Dyżurnym daniem tych lat był solona ryba, którą popijano potworną wódką-samogonem, sporządzaną według jakiegoś alchemicznego przepisu ze spirytusu, kory brzoźowej i pieprzu. „Kasandra” (Anna Andriejewna Achmatowa) miała tego wieczoru jedno ze swoich proroczych przeczuć, toteż z najwyższej ekstazy wpadła nagle w chorobliwą depresję z halucynacjami. Kto przyniósł wiadomość o wykonaniu egzekucji na „Mistrzu” (Gumilowie), nie wiadomo. Z pewną wiarygodnością można powiedzieć tylko tyle, że ta wiadomość przeszła niby mała, lokalna burza magnetyczna nad różnymi antagonistycznymi grupami, które dzielił wyraźny program ideologiczny i estetyczny. Darmołatow z kieliszkiem w ręku, lekko się zataczając, opuścił stolik Kasandry i przeniósł się na pusty wytarty fotel nieboszczyka Jelisiejewa, obok pisarza proletariackiego Dorogojczenki.

W lipcu 1930 roku przebywał w domu wypoczynkowym w Suchumi. Pracował tam nad przekładami, jakie na interwencję Borysa Dawidowicza Nowskiego zamówiło u niego czasopismo „Krasnaja Now”. Znajomość z Nowskim zaczęła się dawno temu w Berlinie, w knajpie opodal Tiergarten, kiedy to młody Darmołatow z podziwem, zachwytem i strachem słuchał śmiałych wystąpień Twierdochlebowa, przyszłego komisarza ludowego marynarki, dyplomaty, delegata Komisariatu Ludowego Łączności i Komunikacji – Borysa Dawidowicza Nowskiego. (Podobno Nowski był jednym z jego kontaktów. Słowo to oznacza skomplikowany związek, jaki istniał między pisarzami a władzą i skutek osobistych sympatii, zobowiązań emocjonalnych z czasów młodości mógł łagodzić twardość rewolucyjnej linii. Więzy takie były zawile i pełne niebezpieczeństw: jeżeli potężny protektor popadał w niełaskę, jego śladem staczali się po stromym zboczu wszyscy podopieczni, jakby porwani przez lawinę wywołaną krzykiem nieszczęśnika).

Pod koniec grudnia, dwa dni po aresztowaniu Nowskiego, w domu Darmołatowa zadzwonił telefon. Była punktualnie trzecia po północy. Słuchawkę podniosła zaspana żona Darmołatowa, brzemienna Tatarka z wysokim, sterczącym brzuchem. Z tamtej strony słychać było tylko przeraźliwą ciszę, mrozącą krew w żyłach. Kobieta odłożyła słuchawkę i wybuchnęła płaczem.

Od tej pory ich aparat telefoniczny był przykryty kolorowymi poduszkami, na których pyszniły się jaskrawe motywy dekoracyjne, pełne pstrokacizny tatarskich bazarów, a obok biurka zarzuconego rękopisami, słownikami i książkami, tłumaczonymi przez Darmołatowa „dla uspokojenia”, stała w pogotowiu tekturowa walizka na okoliczność nagłej podróży. Raz nawet, ośmielony wódką, pokazał pewnemu poecondonosicielowi zawartość swojej walizki. Na swetrze robionym grubym ścięciem leżał oprawny w skórę tom *Elegii* Owidiusza w wersji łacińskiej. Wiersze sławnego wygnańca musiały mu brzmieć w tamtych dniach jak puszkiniowskie motto jego własnego poetyckiego losu.

Na początku następnego roku pojechał do Gruzji; w maju ogłosił cykl wierszy *Tbilisi na dłoni*. We wrześniu został umieszczony na liście literatów, którym przysługuje pomoc. Na polecenie podpisane przez Gorkiego otrzymał spodnie, watowane palto i czapkę z bobrowego futra. (Podobno odmówił przyjęcia czapki z powodu jej „hetmańskiego wyglądu”. Aleksiej Maksimowicz nalegał: niech on się tu nie stawia. Na podstawie różnych wersji tego zdarzenia trudno stwierdzić, co właściwie powiedział Gorki; prawdopodobnie uczynił jakąś aluzję do gorącej głowy naszego bohatera, a ten „omal nie skonał, jak urzędnik u Czechowa”).

Siedemnastego sierpnia 1933 roku znalazł się Darmołatow na statku „J.W. Stalin”, wśród niemal stu dwudziestu pisarzy, którzy udali się na zwiedzenie właśnie ukończonego Kanału Białomorsko-Bałtyckiego. Nagle postarzały Darmołatow nosi teraz bokobrody a la Puszkina. W białym ubraniu, w rozpiętej koszuli, stoi na pokładzie oparty o poręcz, wpatrzony w pustkę. Wiatr we włosach Wiery Imbier. Bruno Jasiński (drugi od lewej) podnosi rękę, wskazując niewidoczny, zamglony brzeg. Z dłonią przyłożoną do ucha Zoszczenko usiłuje rozpoznać melodię graną przez orkiestrę łagierników. Wiatr i woda wylewająca się ze śluzy rozpraszają dźwięki.

Istnieją niedwuznaczne dowody na to, że już wtedy Darmołatowa ogarnęła mania: mył ręce spirytusem i w każdym widział donosiciela. Donosiciele tymczasem przychodzili bez zapowiedzi i bez pukania, przebrani za miłośników poezji w kolorowych krawatach lub za tłumaczy z miniaturowymi wieżami Eiffla z żółtej blachy, czy wreszcie za hydraulików z wielkim rewolwerem w tylnej kieszeni spodni zamiast klucza francuskiego.

W listopadzie Darmołatow trafia do szpitala, na leczenie snem. W sterylnym krajobrazie sal szpitalnych przespał całe pięć tygodni i od tej pory jakby przestał do niego docierać zgiełk świata. Nawet straszna gitara hawajska poety Kirsanowa, wyjąca za parawanem, została ściszona za pomocą waty z cienką powłoką woskowiny. Dzięki pośrednictwu Związku Pisarzy pozwolono mu bywać dwa razy w tygodniu na miejskiej ujeżdżalni. Ociężały, otyły, z pierwszymi oznakami słoniowaczyny (*elephantiasis*), kłusował na starym, spokojnym koniu.

Przed wyjazdem do domu wypoczynkowego „Samaticha”, gdzie czekało go aresztowanie i w konsekwencji śmierć, Mandelsztam przyszedł z żoną, żeby się pożegnać z Darmołatowem. Spotkali go przed drzwiami windy w śmiesznych spodniach do jazdy konnej, z małym dziecięcym biczkiem w ręku. Właśnie przyjechała taksówka i Darmołatow pośpieszył na ujeżdżalnię, nie pożegnawszy się z towarzyszem młodości.

Latem 1947 roku przyjechał do Cetinja, na stulecie poematu *Górski wieniec* Njegoša, którego fragmenty zdaje się tłumaczyć. Chociaż już leciwy, niezgrabny i ociężały, przeszedł jak młokos nad czerwoną jedwabną wstęgą, która okazała krzesło Njegoša, podobne do tronu jakiegoś boga, oddzielała od poetów i zwykłych śmiertelników.

Stałem z boku (ja, który to opowiadam), patrząc, jak poeta-samozwaniec kręci się na wysokim, ascetycznym krześle Njegoša. Korzystając z tego, że wszyscy klaszczą, czmychnąłem z sali portretowej, by nie być świadkiem skandalu, jaki wywoła interwencja mojego wuja, kustosa muzeum. Pamiętam jednak całkiem na pewno: między rozsuniętymi nogami poety, pod wytartymi spodniami, uwydatniała się potworna obrzmiałość.

Ostatnie lata życia, zanim okrutna choroba przykuła go do łóżka, spędził w ciszy, przeżywając słodkie wspomnienia młodości. Odwiedzał podobno Annę Andriejewną i kiedyś przyniósł jej kwiat.

POST SCRIPTUM

W literaturze rosyjskiej pozostaje jako fenomen medyczny – przypadek Darmołatowa. Wszedł do wszystkich współczesnych podręczników patologii. Zdjęcie jego jąder, rozmiaru największej kołchozowej dyni, przedrukowuje się w zagranicznych wydaniach naukowych, wszędzie tam, gdzie jest mowa o elephantiasis (elephantiasis nostra); także jako przestrożę dla pisarzy – że nie wystarczy mieć jaja, aby pisać.

ZDERZENIE CZOŁOWE

Gdyby żył, miałby teraz siedemdziesiąt lat. Urodził się 22 lutego 1935 roku, w Suboticy, na granicy jugosłowiańsko-węgierskiej, z matki, urodziwej Czarnogórki, prawosławnej, i ojca, węgierskiego Żyda. Ochrzczono go w cerkwi, co – wobec narastającej faszyzacji – mogły m.in. spowodować względy bezpieczeństwa. Potem, w szkole, zetknął się z religią katolicką – ślady tego zbliżenia widoczne są choćby w powieści *Ogród, popiół*. Religię mojżeszową poznał jeszcze później, z samodzielnych lektur.

Żyjąc pomiędzy trzema religiami, od śmierci matki, kiedy miał szesnaście lat, przestał wierzyć w Boga. Gdyby istniał Bóg, mówił, nie pozwoliłby komuś takiemu, jak moja matka, cierpieć na chorobę nowotworową tak bardzo i tak długo. Sam, zgodnie ze swoją wolą, został po latach pochowany w Belgradzie, według obrządku prawosławnego. W Belgradzie tkwią korzeniami, mówił. Odszedł w 1989 roku, w sile wieku, zwłaszcza twórczego. Pogrzeb odbył się w dziwnie letni dzień późnej jesieni – ludzie ciasno stłoczeni stali w jaskrawym słońcu tam, gdzie lśniły nad trumną bogate szaty duchownych żegnających go śpiewem.

Żyłem pomiędzy dwoma językami, „węgierskim i serbsko-chorwackim, dwoma krajami, i w dodatku Francją”, mówił.

„Poznałem dwa światy, odmienne pod względem politycznym” (*Między polityką a poetyką*, 1986). I dodawał: „Tak czy inaczej, stale towarzyszyła mi choroba «niepokojącej odmienności”.

Po osławionych „zimnych dniach”, czyli pogromie Żydów i Serbów w Nowym Sadzie, w 1942 roku, kiedy jego ojciec cudem tylko uniknął śmierci, rodzina Kišów schroniła się na wsi węgierskiej, gdzie przyszły pisarz przeżywał wczesne smutki dalszych lat dzieciństwa. Po wojnie wrócił wraz z matką do Czarnogóry, na Cetinje. Od rozpoczęcia studiów zamieszkał w Belgradzie. Ostatnie dziesięć lat przeżył głównie w Paryżu. „Nie zerwałem ze swoim krajem ani ze swoim językiem”, mówił. „Marzę i piszę w języku serbskim, jedynym, w którym mogę automatycznie kształtować myśli. Mieszkać w Paryżu to dla mnie, przede wszystkim, stykać się ze źródłami kultury europejskiej” (*Piszę, by połączyć oddalone światy*, 1989). Mówił biegle po francusku, rosyjsku, angielsku i węgiersku. Tłumaczył m.in. Rimbauda, Lautreamonta, Lermontowa i Adyego...

Zawsze, a zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, przeczuwając bliski rozpad kraju i wojnę domową, uważał się za „jedynego jugosłowiańskiego pisarza na świecie”. Występował przeciwko ciasnocie narodowej i separatyzmowi chorwackim, słoweńskim, serbskim... Duszę miał szeroką i wolną – portret nacjonalisty, takiego, jak wyobraża sobie nacjonalista, stworzył już wcześniej (*Czas powątpiewania*, 1973), a w *Lekcji anatomii* (1978) tylko go uzupełnił. Jak słusznie zauważa znawczyni twórczości Kiša, Mirjana Mioćinović, jego pisarstwo nie miało wiele wspólnego ze standardową narracją ówczesnej serbskiej prozy.

Główną postacią w twórczości Kiša stał się od początku ojciec – „zaginiony” w obozie Auschwitz wraz z niemal całym wojennym transportem Żydów węgierskich. Jego brak miały wypełniać kolejne próby rekonstrukcji literackiej: postać nieśmiertelnego Edwarda Sama, neurotycznego czarodzieja i wizjonera. Dominacja postaci ojca nad twórczością Kiša – widoczna zwłaszcza w cyklu prozy zwanym przez samego autora *Cyrkiem rodzinnym*, a więc w powieściach *Ogród, popiół* (1965) i *Klepsydra* (1972) oraz tomie opowiadań *Wczesne smutki* (1969) – stawiała go obok takich pisarzy europejskich i żydowskich, jak choćby Bruno Schulz, Ota Pavel czy Patrick Modiano.

Po ukazaniu się „tryptyku rodzinnego”, *W* którym – zdawałoby się – powiedział wszystko o faszyzmie i niemieckich obozach zagłady, w twórczości sławnego już pisarza nastąpiła jakby przerwa. O czym można było pisać po Oświęcimiu? – że pozwolę sobie sparafrazować słowa Adorna. Kiš mógł pisać tylko o tym, co było jego „obsesją”, jak Holokaust, zniknięcie ojca... Tymczasem w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na dobre zaczęło się mówić o Gułagu i obozach sowieckich, których istnienie negowali intelektualiści francuscy, i nie tylko oni.

Kiš zawsze chętnie udzielał wywiadów i sam najlepiej komentował swoją twórczość. Krytycy i eseści chętnie czerpali z tego źródła – ja też pójdę ich śladem. W jednym z wywiadów powiedział o Gułagu: „(...) temat ten stał się moją obsesją. (...) W latach siedemdziesiątych wykładałem na uniwersytecie w Bordeaux. W dyskusjach na tematy polityczne musiałem wchodzić w głębokie konflikty. Byłem szczerze przerażony ogólną niewiedzą i fanatyzmem ideologicznym młodych ludzi. Już samo napomknięcie o łagrach traktowali jak bluźnierstwo. Jedynymi argumentami, które mogły nieco zachwiać taką postawą, były wiarygodne opowieści. (...) poza tym uważałem, że po ukazaniu w niektórych moich książkach terroru nazistowskiego powinienem przedstawić w formie literackiej drugie najważniejsze zjawisko naszego stulecia, jakim były sowieckie łagry”. U Niemców praktyka obozowa wynikała jakby wprost z głoszonych przez nich faszystowskich idei, system Gułagu natomiast pod względem moralnym wydawał się jeszcze straszliwszy, bo zakłamany – na tle pięknych haseł o równości, wolności i bliskim już powszechnym szczęściu.

Z takich nastrojów i „obsesji” powstał w roku 1976 *Grobowiec dla Borysa Dawidowicza*. W Polsce ukazał się w drugim obiegu (1987) i dwa lata później został wznowiony (przekład Kazimierza Żórawskiego). Obecna edycja książki, której tłumaczenie, jak zawsze w wypadku Kiša, sprawiło mi prawdziwą radość, jest zatem wydaniem trzecim, w dodatku jubileuszowym. Gdyby żył, miałby teraz...

Książka okazała się symboliczna i fatalna. Symboliczna jako utwór sytuujący się na drugim z ważnych tematycznie skrzydeł, jakimi Kiš pragnął ogarnąć wiek XX, wiek faszyzmu i stalinizmu, dwóch wielkich systemów represji, kacetów i łagrów. Fatalna dla głównych uczestników polemiki, jaką wywołała, i dla samego autora.

Według Kiša, polemistom niewygodnie było z wiadomych powodów oskarżać go frontalnie – o „antykomunizm” i „filosemityzm” – i dlatego weszli na grunt teoretycznoliteracki, na którym w sposób oczywisty nie mogli mu sprostać. Ugodzili jednak w samo serce pisarza, dla którego literatura była jedynym powołaniem, drugim życiem, wszystkim. Powiedział to wprost w tytule swojej ostatniej zamierzonej książki, której zdążył napisać ledwie dwadzieścia stron: *Życie, literatura*.

Pamiętam, jak w kawiarni belgradzkiego hotelu „Metropol” zaszył się wówczas w dalekim kącie i rozgorączkowany, zawzięcie pisał odpowiedź na kolejną napaść swoich przeciwników. Nie chciał nawet słyszeć, że tak wielkie zaangażowanie w „zapasy literackie” może zaszkodzić jemu, a zwłaszcza jego twórczości. I pisał, wciąż pisał... Oprócz zamieszczanych w prasie wypowiedzi, oprócz wystąpień w sądzie, do którego się odwołał w związku z tą „skandaliczną aferą”, powstała kolejna książka Danila Kiša, bardzo erudycyjna, ale też błyskotliwa *Lekcja anatomii* (1978, *Čas anatomije*). Jej druga część – wymierzona przeciw dwóm uczestnikom „afery”: profesorowi Draganowi M. Jeremiciewi, redaktorowi naczelnemu wpływowego czasopisma „Književne novine”, „władcyce” ówczesnej krytyki literackiej, i pisarzowi Branimirowi Šćepanoviciowi – jest może węższa, nazbyt szczegółowa, natomiast rozbudowana część pierwsza stanowi jedyne w swoim rodzaju świadectwo: wykład całej poetyki Kiša, ze szczególnym uwzględnieniem jego „borgesizmu”.

Wykonawcą zamierzonego przez „wielką czwórkę” ataku na Kiša (oprócz Jeremicia i Šćepanovicia należeli do niej pisarze Erih Koš i Miodrag Bulatović; w obronie *Grobowca...* wystąpił bodaj jedyny Predrag Matvejević) został dziennikarz i „dyletancki krytyk” Golubović, od którego to nazwiska Kiš nazywa swoich przeciwników „gołębiarzami” lub „pigeonami”. Golubović był autorem tekstu *Naszyjnik z cudzych pereł*, który ukazał się w listopadzie 1976, w zagrzebskim piśmie „Oko”. Kierując się rzekomo troską o „osobność” kultur narodowych, zarzucił popełnienie plagiatu Kišowi, który ponoć przepisał całe fragmenty z *Historii sztuki rosyjskiej* Louisa Réau, z książki Roja Miedwiediewa *Pod osąd historii* i „paru innych cudzych książek”. Golubović dziwił się ponadto, że „imitator” Kiš, zamiast pisać „o nas”, rzuca się z nożem na zarżnięte już jagnię (stalinizmu), a *Grobowiec...* nazywał „peryferyjnymi wariacjami na temat prześladowań Żydów”, rzeczą „mętną i podejrzaną”, ponieważ Żydzi, jak wiadomo, byli także po drugiej stronie, wśród strażników i morderców. Takie z grubsza zarzuty będą się pojawiały w toku polemiki, w tekstach „wielkiej czwórki”, oprócz Bulatovicia, który uczestnicząc w niej jako jeden z inspiratorów, „nie kalał” swojego pióra. Mniej więcej w tym czasie, podczas pobytu w Warszawie, przyznał w rozmowie ze mną, że nienawidzi Kiša, i widać było, że powodem jest zżerająca go zazdrość.

Na „bezprzykładny atak” Kiś odpowiedział tekstem pod biblijnym tytułem *Perł waszych przed wieprze nie rzucajcie*, co ściągnęło na niego kolejny zarzut, że „obraża cały naród”. Przypominał, że według wciąż cieszącej się wielkim autorytetem Isidory Sekulić ojczyzna jest tam, gdzie wspólny język, który rozumie się „do końca i do dna”. On i „gołębiarze” nie mówią jednak wspólnym językiem, zwłaszcza na płaszczyźnie intelektualnej i moralnej, i dlatego zupełnie się nie rozumieją. Na intelekcie „wielkiej czwórki” i jej środowiska, łącznie z Goluboviciem, nie zostawił suchej nitki. „Nasza literatura”, pisał, jest według nich czymś w rodzaju tworu zespołowego, powstaje „z głowy całego narodu”, jak pieśń ludowa. Już wcześniej, w „moralitecie” *Krótką biografią A.A. Darmołatowa (1892-1968) z Grobowca...*, zdiagnozował stan intelektualny rodzimych literatów jako *elephantiasis nostra*. Powiedział wprost, że „nie wystarczy mieć jaja, aby pisać”, „tylko nasze” jaja, choćby „rozmiaru największej kołchozowej dyni”. To szyderstwo musiało przyśpieszyć i zaostrzyć atak „pigeonów”.

W *Lekcji anatomii*, w rozdziale drugim z podtytułem „zderzenie czołowe”, Kiś wyjaśnia przeciwnikom, że imitatorstwo, jakie mu przypisują, to nie „brak oryginalności”, ale celowo stosowana metoda, którą zapoczątkował Jorge Luis Borges; w nieco innej postaci występowała także u Babla i wcześniej u Poego (od którego Borges przejął ją i udoskonalił). Metoda ta polega przede wszystkim na mistrzowskim wykorzystywaniu, lecz również pozorowaniu materiału dokumentalnego, pisze dalej Kiś. I odwołuje się do Borgesa: gdyby rzeczywiście wolno było poruszać „tylko nasze” tematy, to co poczęlibyśmy z Szekspirem jako autorem *Hamleta* i *Makbeta*?

„Borges to dla większości współczesnych pisarzy nieuniknione dziedzictwo kulturalne”, mówi w przytaczanym już jednym z ostatnich wywiadów *Piszę, by połączyć oddalone światy* (1989). „Dostarczył nam nowych narzędzi, zdołał połączyć w jeden gatunek esej, poezję i nowelę, radykalnie zmienił sztukę narracyjną, wskazał, jak wykorzystywać fantazję (...) Ale powtarzam, nie trzeba zmyślać, żeby pisać. Wszystkie moje utwory opierają się na rzeczywistych, udokumentowanych historycznie zdarzeniach. Staram się w nich pogodzić bałkańską duszę z tradycją europejską...”.

Grobowiec dla Borysa Dawidowicza także stanął na „udokumentowanych historycznie zdarzeniach”. Opowiadanie tytułowe to właściwie „powieść historyczna”, fabuła, o której prawdziwości autor pragnie przekonać czytelnika, uzasadniając fantazję prawdą licznych szczegółów. I ponownie nawiązuje do twórczości Borgesa, stwierdzając, że „nowoczesną formą fantastyki jest erudycja”. Kišowi również niepodobna odmówić erudycji, i sam nawet zadaje sobie pytanie, „czy nie mądrzej było napisać esej albo rozprawę”, w których mógłby „się posłużyć dokumentami tak, jak to jest przyjęte”. Ale zaraz dopowiada: „(...) nie potrafiłem wyrzec się przyjemności płynącej z opowiadania, które pozwala pisarzowi łudzić się, że stwarza świat, czyli jak to się mówi, że go zmienia” (*Mechaniczne lwy*). Podobnych wyznań autorskich jest więcej, nawet w tym samym opowiadaniu: „Potrzeba twórcy, by żywemu dokumentowi przydać (...) barwy, dźwięki i zapachy, tę dekadencją trójcę świętą współczesnych, nie pozwala mi jednak nie wyobrażać sobie tego, czego nie ma w tekście Czelustnikowa”. Opowieść sprawia czytelnikowi „złudną przyjemność” obcowania z siłą wyobraźni autora. Wyobraźni tej zawdzięczamy tak sugestywne i piękne sceny, jak „magiczne krążenie kart” w łagrowym baraku, jak wesele Borysa Dawidowicza na pokładzie torpedowca „Spartak”, jak scena jego śmierci w kotle płynnego żużlu, kiedy „zwinął się niby smuga dymu, głuchy na rozkazy, niepokorny, wolny (...) od kary i od skruchy”. Dzięki takim scenom czyta się opowieści łagrowe Danila Kiša jako coś aktualnego, żywego dziś, po latach, po całym nurcie literatury naocznych świadków, jak Szalamow czy Sołżenicyn. Doświadczeniu osobistemu może bowiem, na innej płaszczyźnie, sprostać jedynie siła wyobraźni, niosąca, jak to ujmuje Guy Scarpetta, „jakiś dodatkowy wymiar, inny efekt prawdziwości”...

Kiš stara się jak tylko może uwolnić od „okrutnej zmory dokumentów, które ciążą na opowieści”. „Najbardziej zależało mi”, powiedział w wywiadzie *Między polityką a poetyką* (1986), „na znalezieniu w mojej domenie, w fikcji, końca własnej obsesji oraz sposobu na ukrytą polemikę z totalitarnym światem i rodzajem myślenia”. Tym sposobem było m.in. mieszanie faktów i fikcji (*faction – fiction*), zacieranie różnicy między nimi, niekiedy z lekkim przymrużeniem oka. W opowiadaniu *Mechaniczne lwy* splatają się na przykład losy historycznego Édouard Herriota i „fikcyjnego, lecz równie prawdziwego” Czelustnikowa. Nastasja Fiedotiewna M. raz jest żoną naczelnego redaktora, a raz sekretarza komitetu rejonowego; Borys Dawidowicz, powiedzmy w roku 1912, przebywa w Petersburgu i jednocześnie w całkiem innym miejscu. Podejrzliwego czytelnika odsyła się do „załączonej bibliografii”, której nie ma. Bibliografia w znaczeniu borgesowskim, pisze Kiš w *Lekcji anatomii*, wskazuje bowiem nie tyle na źródła, ile na niemożność ich podania; stąd „fikcyjne bibliografie” Borgesa (metoda stosowana już przez Rabelais’go) czy „bibliografie-metafory”. A zamieszczanie przypisów, w których powiedziane jest za wiele, oznaczałoby dla czytelnika „utrata połowy przyjemności”.

W zamian Kiś często odwołuje się do rozmaitych świadectw, biografii, cytatów z opinii rzekomych badaczy, itp., byleby pozyskać zaufanie czytelnika. Jak mówił Tomasz Mann w związku z *Lottą w Weimarze*, „(...) fakty autentyczne i udokumentowane mieszają się tak, że niepodobna ich odróżnić od apokryficznych”. A jak się powoływać na źródła tam, gdzie mieszają się fakty prawdziwe i zmienione, zdeformowane, zapytuje Kiś w *Lekcji anatomii*. Występujące w tytułowej opowieści *Grobowca...* nazwisko siostry Nowskiego, A.L. Rubiny, wskazuje jednak na źródło historyczne – na Roja Miedwiediewa (u niego pojawia się B. Rubina), a idąc tym tropem, wnikliwy czytelnik może w jego książce znaleźć również wstrząsające sceny konfrontacji w piwnicach więziennych, wykorzystane przez Kiśa.

W *Grobowcu...* są zatem nazwiska prawdziwe i fikcyjne, podobnie jak różne listy, wycinki z gazet, fragmenty książek, pamiętników. „Skoro bowiem wierzymy, że następstwo jest prawdą, nasz umysł jest skłonny błędnie wnioskować, że i przesłanka jest prawdziwa” (Arystoteles, *Poetyka*, XXIV15). Również u Borgesa pojawia się, jak wiadomo, mnóstwo kryptocytatów i pozornych odniesień. Jest to literatura, jak pisze Sylvia Malloy w studium *Borges y la distancia literaria*, „która czerpie tworzącą ją materię z samej literatury, a nie z «rzeczywistości»”.

Wysuwany w polemice z Kišem zarzut popełnienia plagiatu świadczył o tym, że przeciwnicy stający do zapasów literackich nie mają z nim wspólnego języka. Louis Réau to nie pisarz, lecz historyk sztuki, mówił Kiś, a opis Soboru Sofijskiego w prześmiewczym opowiadaniu *Mechaniczne lwy* to parafraza tekstu z jego książki, stworzona na zasadzie „uniezwyklenia” (w formalistycznym znaczeniu słowa). Jedynym wyjątkiem jest dosłowny cytat o freskach włożony w usta „historyka sztuki, Lidii Krupienik”, co wskazuje na jego „kunsthistoryczne” pochodzenie; podobnie to, że swój wykład wygłasza ona „nienaganną francuszczyzną”, może dodatkowo wskazywać na źródło.

W gruncie rzeczy, konkluduje Kiś w *Lekcji anatomii*, „w literaturze, w beletrystyce, nie ma źródeł. Jedynym autentycznym źródłem wszystkich opowiadań, wszystkich powieści jest autor, a pozostałe źródła, prawdziwe i fałszywe, zlewają się do tego jednego (...) znikając w nim jak w rzece, tracąc swój głos i swoje imię”. A w braku źródeł autor snuje „ostrożne domysły”.

Grobowiec... można zatem czytać, poddając się sugestii, że wszystko to jest prawdą (faktem), a jednocześnie mieć mniejszą czy większą świadomość gry literackiej, i stąd czerpać dodatkową satysfakcję.

„Kiś tworzy nagle jakąś nową poetykę prozy dokumentalnej, w duchu najnowszej książki (...), negując w ten sposób swoje dawniejsze utwory”, w kolejnym wystąpieniu ocenił sytuację Dragan M. Jeremić. Jakby zapomniał, że poetyce tej autor *Cyrku rodzinnego* był wierny od początku – od *Psalmu 44*, który powstał z inspiracji pewnym gazetowym reportażem; poprzez *Mansardę* z nie rozpoznawanym na ogół długim cytatem z *Czarodziejskiej góry*; przez *Wczesne smutki* z dokumentami rodzinnymi; przez *Ogród, popiół* ze słynnym autentycznym rozkładem jazdy E.S.-a z 1939 roku; po *Klepsydrę* z kluczowym listem E.S.-a, itd.

Odnosząc się krytycznie do borgesizmu Kiša i przypisując mu całkowite „uzależnienie”, przeoczano także fakt, iż „borgesowski solipsyzm i metafizyczną pozaczasowość (jako program)” zastąpił on ironicznym kontekstem historyczno-politycznym, podchodząc do rzeczywistości w inny literacko sposób. Stanowisko Kiša różni się także od tego, jakie zajmował Arthur Koestler: zeznania rewolucjonistów są u niego wymuszane „nie siłą argumentów ideologicznych, jak w powieści *Ciemność w południe*, ale torturami”.

W jednym z wywiadów Kiš odniósł się szerzej do tematu żydowskiego, stwierdzając: „Większość rewolucjonistów żydowskich w Rosji później, pod rządami Stalina, została rozstrzelana albo spędziła resztę życia w Gułagu. Żydowscy rewolucjoniści z krajów Europy Środkowej, jeżeli nie zdążyli w porę usunąć się poza zasięg władzy Hitlera, wyginęli w nazistowskich obozach koncentracyjnych. Nie widzę więc różnicy w losie inteligencji żydowskiej pod władzą Stalina oraz inteligencji żydowskiej pod władzą Hitlera. Postacie Żydów występują w mojej książce po to, by udokumentować podobieństwo obu tych ustrojów” (*Nie wierzę fantazji pisarza*, 1989). Sołżenicyn natomiast „skłonny jest zauważać głównie Żydów, którzy pełnili funkcje strażników obozowych” (*Barok i prawdziwość*, 1988).

„Jugosłowiańskim Sołżenicynem” nazywa Kiš Karla Štajnera, chorwackiego komunistę, autora książki *7000 dni na Sybirze* (1971). Od niego przede wszystkim uzyskał świadectwa, które posłużyły za kanwę *Grobowca dla Borysa Dawidowicza* i ramy „rozdziałów wspólnej historii”. „Jego styl był na tyle zwięzły”, pisze, „by pozostawić miejsce fantazji”.

Do czerpania ze wspomnień Karla Štajnera (czyli materiału dokumentalnego w rozumieniu borgesowskim) Kiš otwarcie się więc przyznaje. Natomiast zarzucane mu przez Jeremiasza wzorowanie się na Borgesie, Schulzu, Robercie Pingecie czy nawet historyku Miedwiediewie pojmuje jako swój rzeczywisty związek „z tradycją europejską, z mitem judeochrześcijańskim, korzeniem tej tradycji”. I listę wymienionych pisarzy znacznie rozszerza, ciekawe – nawet o Władysława Reymonta. „To prawda”, stwierdza w *Lekcji anatomii*, „że pisarz ma swoje mityczne drzewo genealogiczne, jak inni mają prastare szlacheckie rody, i herb swój z dumą uwidacznia w rękopisie, na swoim palimpseście; jest to jakby znak wodny, wytłoczony na papierze, na którym pisze, widoczny znak jego genealogii”.

W zbiorze Kišowych opowiesci jako jeden z „siedmiu rozdziałów wspólnej historii” znajduje się opowiadanie *Psy i książki z czasów Wielkiej Inkwizycji*. Ma to być właściwie przekład trzeciego rozdziału rejestru inkwizytora, Jacques’a Fourniera, późniejszego papieża Benedykta XII. W nocie „Od autora” Kiš pisze o „niespodziewanym i przypadkowym odkryciu tego tekstu” już „po szczęśliwym zakończeniu pracy” nad opowieścią *Grobowiec dla Borysa Dawidowicza*. Odkrycie to równało się dla niego „cudowi i olśnieniu” z powodu oczywistych analogii ze wspomnianą opowieścią. W obu tekstach występuje mianowicie niezwykła zbieżność motywów (trwałość przekonań, przelana krew ofiar), dat (ten sam dzień grudnia, z dystansem sześciu wieków: 1330... 1930) i nazwisk (Baruch David Neuman – Borys Dawidowicz Nowski). Kiš uznał to za udział Boży w twórczości, *la part de Dieu*, albo... *la part du diable*.

Na kanwie tych dwóch opowiadań potwierdza się idea czasu cyklicznego, której wyznawcą był Borges, a ową niezwykłą zbieżność można uznać za przejaw „reinkarnacji intelektualnej”. Kiś starannie przeprowadza paralełę: Wielki Inkwizytor i B.D. Neuman – oficer śledczy Fiediukin i B.D. Nowski. W tych parach stanęli naprzeciw siebie godni przeciwnicy: Fiediukin (Fournier) jest przekonany, że przyznanie się do winy to obowiązek (wierność zasadzie rewolucyjnej, religijnej); Nowski (Neuman) walczy o godność własną (i każdego rewolucjonisty, każdego wyznawcy religii żydowskiej).

Wyraźnie, choć dyskretnie, zarysowuje się w *Grobowcu...* przesłanie autora, wypowiedziane ustami różnych postaci. Kiś poszukuje odpowiedzi w związku z alternatywą: czy pogodzić się z tymczasowością trwania, czy poddać „uściskowi nicości”? I dochodzi do wniosku, że „m i m o w s z y s t k o przemieszane cierpienie trwania jest więcej warte niż ostateczna pustka nicości”. To przekonanie, wyrażone w związku z losem doktora Taubego w *Magicznym krążeniu kart*, podziela B.D. Neuman z opowiadania *Psy i książki*. Jest to „logiczna konsekwencja określonego światopoglądu”, dodaje autor. Lecz kiedy doktora Taubego dopada na koniec łagrowy bandyta, okazuje się, że nieodgadnione są drogi, które doprowadziły do tego spotkania; „Dalekie i nieodgadnione jak drogi Pańskie”.

O utworach składających się na *Grobowiec dla Borysa Dawidowicza* mówi się zwykle „opowieści”, „opowiadania” – ale na karcie tytułowej autor umieścił określenia: „Siedem rozdziałów wspólnej historii” i „Powieść”. Za tym, że w wypadku takiego cyklu prozy określenia te są uzasadnione, przemawia wspólna tematyka łagrowa, a zwłaszcza przewijanie się tych samych postaci w kolejnych opowieściach. Podczas wojny domowej w Hiszpanii A.L. Czelustnikow pełni funkcję zastępcy dowódcy brygady i doprowadza do aresztowania Goulda Verschoyle’a (*Maciora, która pożera swoje młode*)-, w *Mechanicznych lwach* występuje jako jeden z dwóch protagonistów, rzekomy paroch z Soboru Sofijskiego, i wreszcie trafia tam, gdzie większość bohaterów powieści – do łagru (*Magiczne krążenie kart*). Sam Borys Dawidowicz – Kišowy model rewolucjonisty – za młodu jest „idolem”, później zaś swego rodzaju protektorem rosyjskiego poety z *Krótkiej biografii A.A. Darmołatowa (1892-1968)*.

Dragan M. Jeremić – estetyk, który „w swoich tekstach filozoficznych reprezentuje idee humanizmu integralnego, w sensie teoretycznym przeciwstawia się dogmatyzmowi, a w sensie moralnym – fanatyzmowi” (z hasła w *Jugosłowiańskim leksykonie literackim*, 1984), i dodajmy, członek pracującego wówczas jury nagrody imienia Andricia – pisze w jednym z polemicznych wystąpień, że Kiš „poważnie wątpiąc w siłę swojej inspiracji i w autentyczność swojej twórczości, za wszelką cenę potrzebował nagrody”, i właśnie o nią tak zażarcie walczył. Ten niski zarzut musiał szczególnie ugodzić Kiša; w kilka lat potem, będąc już we Francji, opublikował (1984) *Rady dla młodego pisarza*, wśród których znalazła się taka: „Nagrody (...) przyjmuj obojętnie i nie rób nic, by na nie zasłużyć”. A o – późnej wprawdzie – wygranej w zapasach literackich świadczy przyznanie Kišowi nagrody imienia Andricia za następną książkę *Encyklopedia umarłych* w roku 1984.

Zdaniem autora polemika wokół *Grobowca...* miała charakter przede wszystkim polityczny. W wywiadzie *Dobrze zastawione pułapki* z roku 1989 powiedział wprost: „Jeden z naszych najwyższych wówczas funkcjonariuszy partyjnych w swoich pseudopamiętnikach napisał dosłownie tak: «Przeczytałem książkę Danila Kiša *Grobowiec dla Borysa Dawidowicza*, którą krytyka oceniła pozytywnie i wychwalała. Nie podoba mi się, ani jako literatura (choć pod tym względem nie jest pozbawiona wartości), ani wskutek poglądów, jakie prezentuje. Jej anty Stalinizm równa się antysocjalizmowi. Poza tym obciążona jest wyraźnie obecnym syjonizmem (tak mi się wydaje)»”.

Lekcja anatomii została szybko uznana za najważniejsze teoretycznoliterackie źródło wiadomości o sposobie wykorzystywania materiału dokumentalnego i paraliterackiego oraz technice montażu, ale nie tylko: zdaniem krytyki Kiś zrehabilitował w niej polemikę i pamflet jako gatunek. Swoje doświadczenia i wnioski płynące z opisanych tu wydarzeń przedstawił także w formie książki profesor Dragan M. Jeremić. Polemika już wtedy wygasła – jego ciężkawy portret Danila Kiša *Narcis bez lica* (*Narcyś bez twarzy*) nie wywołał większego echa.

Pozostaje mi wyjaśnić, dlaczego nazwałam *Grobowiec...* książką fatalną. Wiadomo, książki mają swoje losy, a czasem wpływają na losy ludzi. W 1977 roku Kiś zdecydował się wyjechać na stałe do Francji. W kilkanaście lat później nie było już na świecie jego ani nikogo z „wielkiej czwórki”. Jeden tylko Branimir Šćepanović odszedł żywcem w niebyt literacki – niegdyś wybitny przedstawiciel młodej serbskiej prozy, niczego już nie napisał. Pochłonął go ponoć hazard, jak w *Magicznym krążeniu kart*. Pozostałych zabrał rak albo zawały. Zapał polemiczny karmi się bowiem „krwią i gruczołami”, a silny stres działa szkodliwie na serce i mózg.

Doprawdy nieodgadnione są drogi Pańskie.

Danuta Cirlić-Straszyńska
marzec 2005